



NA GRANICY... Konkurs literacko-plastyczny

Białystok 2020/2021



Cezary Stańczyk „Krzyk”

Tematem prac były emocje, przemyślenia i refleksje dotyczące życia w czasie pandemii.

Eseje i obrazy napłynęły z całej Polski – z Gdańska, Krakowa, Warszawy, Łodzi, Będzina, Leżajska, Wrocławia, Torunia, Gołdapi, Konina, ale najwięcej, oczywiście, z województwa podlaskiego – Białegostoku, Moniek, Sokółki, Wasilkowa, Łysek, Gródka, Choroszczy, Bielska Podlaskiego, Grajewa, Szepietowa. W sumie nadesłano 37 prac literackich i 36 plastycznych. Wszystkie ukazywały mierzenie się z bardzo trudnymi emocjami – lękiem, niepokojem czy wręcz paniką. Jednocześnie zawierały sporą dawkę nadziei na dobrą zmianę w życiu, przewartościowanie go, dostrzeżenie tego, co naprawdę ważne.

Prace nadesłały osoby w różnym wieku – licealiści, studenci, ludzie w wieku dojrzałym i seniorzy. Każdy przeżywał i przeżywa trudny czas izolacji i ograniczeń w inny sposób. Wiele osób przyznaje, że radzi sobie tylko dlatego, że obok są bliscy. Niektórzy opisywali jeden dzień, inni wybrany epizod z życia w pandemii, jeszcze inni cały okres zmiany. Niektórzy autorzy pisali wprost o swoich emocjach, a inni sięgali do metafory. To, co łączy te prace, to przekonanie, że wirus pozostawia swój ślad nie tylko w naszych ciałach, ale także, a może przede wszystkim – w duszy.

Eseje cechowała oryginalność i wartość poznawcza, a nagrodzone wywody myślowe były logiczne, spójne i przejrzyste. Jury zwracało przy tym uwagę na stronę formalno-językową tekstu, kwestię precyzji sformułowań i poprawności językowej. Z dużym zainteresowaniem odkrywało nowe przestrzenie, ukazywane przez autorów tekstów.

W kategorii literackiej jury w składzie: Lila Wyszowska, Barbara Popławska i Joanna Gaweł przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

Nagrody:

- I. **Dominika Jakubowicz** „Ześć na ziemię”,
- II. **Magdalena Loba** „Lądowanie”,
Mirosław Brozio „Na granicy czasów”,
- III. **Anna Kulikowska** „Zaraźliwe uczucia”,
Marek Kochanowski „Zamaskowani”,

Wyróżnienia:

Małgorzata Paszko „Pandemioza. Nasze kolejne przedtem i potem”,

Maja Pszczoła „Dwa gołębie”,

Joanna Pypeć „Na skraju człowieczeństwa”,

Weronika Wierzbowska „Na granicy... wytrzymałości”,

Barbara Alina Wnukowska „Na granicy... ”,

Jadwiga Zgliszewska „Z obaw i nadziei kobierzec tkam”.

W kategorii plastycznej jury w składzie: Krystyna Kunicka, Magdalena Talmon, Adam Ślafarski przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

Nagrody równorzędne:

Kinga Maciejczyk „Na granicy samotności”,

Cezary Stańczyk „Samotność” i „Krzyk”,

Dariusz Gumowski „Przejście”

Wyróżnienia:

Agnieszka Pacewicz „Emocje”,

Weronika Prokopiuk „Na granicy znudzenia”,

Magda Siemieniuk „Spokój na starość”,

Bartłomiej Utko „Tango samotności”.

Wybrane prace, nie tylko nagrodzone, zarówno literackie, jak i plastyczne, zostały zamieszczone w poniższej publikacji. Zbiór esejów i rysunków utrwali obraz tego, co czujemy i co myślimy, gdy stajemy na granicy naszego dotychczasowego, znajomego, poukładanego i bezpiecznego świata.

Laureatom serdecznie gratulujemy, a wszystkim uczestnikom dziękujemy za zaangażowanie i podzielenie się swoimi emocjami i przemyśleniami – częścią swego życia.

SPIS TREŚCI

ESEJE

Dominika Jakubowicz „Ześć na ziemię” / 9
Magdalena Loba „Lądowanie” / 13
Mirosław Brozio „Na granicy czasów” / 17
Anna Kulikowska „Zaraźliwe uczucia” / 21
Marek Kochanowski „Zamaskowani” / 25
Weronika Wierzbowska „Na granicy... wytrzymałości” / 29
Maja Pszczoła „Dwa gołębie” / 35
Barbara Alina Wnukowska „Na granicy... ” 39
Joanna Pypeć „Na skraju człowieczeństwa” / 43
Małgorzata Paszko „Pandemioza. Nasze kolejne przedtem i potem” / 49
Jadwiga Zgliszewska „Z obaw i nadziei kobierzec tkam” / 53
Karolina Chojnacka „Wycieczka” / 57
Piotr Sołowij „Morska wyprawa ku wyspom szczęśliwym” / 64
Aleksandra Maj „Quid est veritas” / 69

PRACE PLASTYCZNE

Paweł Matulewicz „Granica życia” / 1
Cezary Stańczyk „Krzyk” / 2
Kinga Maciejczyk „Na granicy samotności” / 6-7
Cezary Stańczyk „Samotność” / 8
Weronika Prokopiuk „Na granicy znudzenia” / 12
Aleksandra Buczyńska „Na granicy końca świata” / 16
Barbara Medajska „Kwarantanna seniora” / 20
Krzysztof Firlej „ZOZO 2020” / 24
Magda Siemieniuk „Spokój na starość” / 28
Maciej Kierman „Na granicy systemu” / 33
Bartłomiej Utko „Tango samotności” / 34
Katarzyna Perkowska „Na granicy siebie” / 38
Paulina Peliksha „Rejwach” / 41
Weronika Sędziak „Granica samotności” / 42
Agnieszka Pacewicz „Emocje” / 47
Filip Szczerba „Lockdown” / 48
Liza Nalewajko „Rozsądek pozbawiony głosu” / 52
Anna Dmochowska „Na granicy bliskości” / 58
Dariusz Gumowski „Przejście” / 62-63
Gabriela Zawadzka „Granica skrajności” / 68



Kinga Maciejczyk „Na granicy samotności”



Cezary Stańczyk „Samotność”

Zejść na ziemię

Wyglądam przez okno. Dzień jest piękny, niemalże wiosenny, choć to już zima: jasne, błękitne niebo, nieśmiałe promienie słońca oświetlają równo skoszone trawniki i poskręcane gałęzie drzew, które zamrożone we śnie czekają na liście. Wzdłuż chodnika idzie listonosz z wypchaną torbą, na twarzy ma jednorazową maseczkę. Oprócz niego nie widać żywej duszy: na zewnątrz panują niespotykane dotychczas pustki, zupełnie jak w noworoczny poranek, gdy wszyscy – zmęczeni całonocną zabawą – jeszcze śpią lub otuleni kocem leniwie palą papierosy na balkonach. Być może chociaż natura ma teraz szansę od nas odetchnąć – mniej spalin, mniej śmieci, mniej deptania po kwiatkach. Strach i napięcie niemalże rysują się w powietrzu, tworząc ogromną, niewidoczną sieć, w którą my wszyscy jesteśmy złapani. Wyteżam wzrok. Na słupie wisi jeszcze nekrolog, choć pogrzeb mojej babci miał miejsce w zeszłym tygodniu. Płakałam przez całą ceremonię, przez co musiałam stać na mrozie w mokrej od łez maseczce, bo nie miałam drugiej, czarnej na zmianę. Nagle ściska mnie w żołądku; dłoń drży niekontrolowanie. Jestem na granicy, choć sama do końca nie wiem czego – i tak bardzo boję się odsłonić ostatnią kartę. Czyżby to była granica, po przekroczeniu której pęknie mi serce? To dużo mroczniejsze niż „Cierpienia młodego Wertera” – to cierpienia młodej, empatycznej schizofreniczki, która widzi, jak wszyscy wokół są przesiąknięci bólem.

Wiele osób skonfrontowanych z obecnie panującą rzeczywistością, która zaciska na nas szpony niepewności, spotyka się – niejednokrotnie po raz pierwszy w życiu – z silnym, niepohamowanym lękiem. Gdy tracą pracę, członków rodziny, środki do życia, możliwość bliskiego kontaktu z przyjaciółmi i realizacji swoich pasji, gdy tracą prawie wszystko, wszystko rozsypuje im się w palcach – zaczynają tracić też zmysły. Ich pełne ciepła i stabilizacji życia nagle rozsypują się jak domek z kart: jedna kostka domina popycha drugą w drodze do depresji czy, co gorsza, psychozy. A co mamy powiedzieć my? Schizofrenicy? Dwubiegunowi? Chorzy na borderline? Kontakt z psychiatrą możliwy jest jedynie telefonicznie, psychoterapia przyjmuje formę kilkuminutowej rozmowy na odległość, w trakcie której rzuca się standardowymi frazami. Lekarze nas „odhaczają”, kartka za kartką, lista za listą, jest im łatwiej, gdyż nie muszą patrzeć nam w oczy. Często nie ma możliwości nawiązania kontaktu z psychiatrą prowadzącym „na gwałt”, trzeba trzymać się wyznaczonych terminów. Do szpitali przyjmują jedynie „niedoszłych samobójców”, a gdy już się tam jakimś cudem dostaniesz, odwiedziny rodziny czy kontakty z innymi pacjentami są w obecnej chwili niemożliwością, naiwnym marzeniem, gdyż trzeba trzymać dystans, najważniejszy jest dystans, tylko co mam zrobić, gdy nie mam

wcale dystansu do siebie? Psychoterapia jest naszą tarczą, filtrem, przez który przepuszczamy rzeczywistość, by wyłapać wszystkie nieprawidłowości, pracować nad zaburzeniami percepcji, oczyszczać świat kamyczek po kamyczku z chorobowych domysłów i błędnych przeświadczeń – i zostaliśmy tego filtra gwałtownie pozbawieni. Wszystko uderza w nas bezpośrednio: jesteśmy pokaleczeni. Wszystko w nas godzi: każdy ponury i alarmujący nagłówek, każdy zakaz i nakaz, słowa trafiają prosto do klatki piersiowej i sprytnie, między żebrami dostają się do serca niczym pociski samonaprowadzające się. Powszechną wiedzą jest, iż nawet osoby zdrowe ciężko przechodzą żałobę i stratę, a co dopiero zaburzeni, których już nic nie chroni... Płynący czas zamienia się dla nich w rzekę błota i mułu, przez którą ciężko iść. Ja – gdy filtr mnie zawiódł dwa lata temu zupełnie tak, jakby go ktoś zerwał jednym ruchem ręki – trafiłam na Całodobowy Oddział Psychiatryczny, gdzie pielęgniarki – za pomocą czujnego oka kamer i swoich własnych, otwartych szeroko – pilnowały mnie bez wytchnienia, sprzątały ślady krwi z podłogi, raz po raz bandażowały ręce bez wymownego przewracania oczyma, dezynfekowały rany, koiliły głosem. Podawały leki z zegarkiem w rękę, spisywały raporty, a lekarz prowadzący przyglądał nam się z bliska i walczył o nasze umysły z nieczystymi siłami choroby: to były swoiste egzorcyzmy, a okrągłe opłatki tabletek oczyszczały nas z tego, co brudne i złe. Nawet na oddziale zawsze znalazło się coś, czym można było sobie zrobić krzywdę: połamany na pół dowód osobisty, pinezka ukradzioną z tablicy ogłoszeń, złamana wykałaczka, patyczek do czyszczenia uszu, własne paznokcie – a co dopiero w domu. Nawet, jeśli ktoś schowa przed tobą wszystkie noże i zamknie szuflady na klucz. Twój anioł stróż musi przecież kiedyś spać – nie to, co w szpitalu. Tu, w domu, o wiele łatwiej się uszkodzić, gdyż nawet ściany mają ostre kąty, gdy człowiek tak się o nie obija dzień po dniu. Pozwolę tu sobie zacytować fragment z mojej ulubionej „Zimy Muminków” autorstwa Tove Jansson: „Wierzcie mi: nie ma nic niebezpieczniejszego od ciągłego przesiadywania w domu. – Hhy? – powiedział Muminek. – Tak. Od tego przychodzą tylko do głowy różne pomysły”. Tym gorzej, jeśli te pomysły rodzi obłęd, prawda? Krwawimy w przytulnych pokoikach, w świeżej pościeli, po cichutku płacząc w poduszkę, zacierając ślady. W szpitalu dni mijały podobnie, jeden był wierną kopią drugiego i tak mijały tygodnie, otulała nas bezpieczna, powtarzalna rutyna, dzięki niej można było dojść do siebie: gimnastyka, śniadanie o ósmej, zebranie społeczności, kawa o dwunastej, obiad, czas wolny, kolacja. A teraz? Szpitale zamykają drzwi, nie ma dla nas łóżek, nie ma gdzie się udać, oddziały psychiatryczne zamieniają się w szpitale jednoimienne dla zarażonych koronawirusem. Co mamy robić? Przecież my również jesteśmy zarażeni tajemniczą chorobą z kosmosu, która dla większości ludzi jest czystą abstrakcją, a dla nas brudnym bólem codzienności. Jeśli zachoruję ponownie, zmiażdżona atakującymi mnie wydarzeniami, które wgryzają się w podświadomość tak mocno, że nie da się ich wypluć z powrotem, fakt, że sprowadzono nas do dziewięciu cyferek numeru telefonu, byłby zapewne moim końcem, bo w tych czasach,

w trakcie pandemii, nie ma już miejsc bezpiecznych. Tylko czarna otchłań, mętny ocean strachu i śmierci, który bezdźwięcznie połyka człowieka za człowiekiem. Być może twórczo będą to czasy owocne (w końcu mówi się, że twórczość rodzi się w bólach), za to wyjątkowo śmiertelne. Nie tylko ze względu na COVID-19, lecz również wirusa nieczułości. Aż cisną się na usta słowa z utworu Paktofoniki: „Milionami na przestrzeni Ziemi rozsiani / obcuja tu obcy, wyobcowani ludzie”. Codziennosc przesączona klaustrofobią i czyhającym na każdym kroku niebezpieczeństwem staje się wręcz psychodeliczna. Mijamy się na ulicach, mijamy się w sklepach: każdy zakneblowany przerażeniem, każdy wysyła same pełne podejrzliwości spojrzenia, upewniają się, czy nikt się o nich nie otrze, nikt nie zakasze w pobliżu, a ja trzymam kurczowo rękę swojego chłopaka w trakcie robienia zakupów i nie mogę oddychać. Ataki paniki na nowo stały się obecne i znajome w moim życiu, a gdy tak patrzę przez okno, czuję się po części więźniem własnego domu i samej siebie. Wiem, jaki ten wirus potrafi być niebezpieczny, a jego powikłania – jeszcze gorsze: niewydolność płuc, spadek sił, zakrzepica potrafiąca doprowadzić nawet do amputacji kończyny. Widziałam to na własne oczy, nikt nie wmówi mi, że to „tylko grypa”. A ja mam słabą odporność i psychiczną, i fizyczną, muszę więc uciekać, chować się, przeczekać tę biologiczną wojnę. Tęsknię za rodziną na drugim końcu Polski, za normalnością i gdyby nie wsparcie mojego wyrozumiałego do granic, mającego anielską cierpliwość partnera, dawno już bym się złamała. Wpaść w pułapkę depresji jest łatwo, wystarczy postawić nogę tam, gdzie nie trzeba, i już spadamy w dół. Ja się jej wymknęłam, aczkolwiek ciąży mi świadomość, że jeśli się tak zakleszczymy we własnych czterech kątach – my, zaburzeni – to gdy będzie już po wszystkim, trzeba będzie nas stąd wyciągać siłą. O ile dotrwamy. Jest na to szansa, jeśli będziemy pory brania leków traktowali jak świętość, będziemy z siebie wyrzucać cały ten chaos na bieżąco, będziemy pamiętać, że jeszcze będzie przepięknie, nie zapomnimy twarzy naszego psychiatry.

Choroba psychiczna sprawia, że jesteś jak kamikaze: skaczesz w przepaść, by wyrządzić jak najwięcej szkód, nawet kosztem własnego życia. Ja, dzięki odpowiedniej opiece, miałam szansę zejść na ziemię. Opadłam delikatnie, jak wirujące w powietrzu piórko, uczyłam się stawiać pierwsze kroki zupełnie od nowa. Co stanie z tymi, którym to nie będzie dane i zderzą się z betonem? Jeśli zostanie po nich tylko krwawa plama, czy ktoś wspomni o tym w mediach? Czy świat wzruszy ramionami, bo każdy ma teraz na barkach odpowiedzialność za własne życie? Tak, jestem na granicy i czuję, że chyba pęknie mi serce.

Lądowanie

Słyszę huk. Tak to się zaczyna. Widzę, jak regały z jedzeniem walą się na planetę Ziemia, bo wszyscy na haju nadchodzącej godziny W biegną, żeby kupić ostatni groszek, fasolkę i mydło, żeby w nowej rzeczywistości być czystym, wolnym od wirusa, zarazy i śmierci.

Ląduję na planecie COVID-19. „Proszę się nie ruszać, nie patrzeć, nie oddychać” – tylko takie słyszę polecenia. Nie wiem, czy są prawdziwe, czy tylko ja sama do siebie je mówię. Nie wiem, czy skoro prowadzę taki wojskowy wewnętrzny dialog, to znaczy, że jest mnie dwie i w trakcie tego zdarzenia zostałam sklonowana. Tak naprawdę nic nie wiem. Jeszcze prawie do wczoraj byłam kimś, kogo określa każdy dzień: marzycielem, podróżnikiem, żoną, przyjaciółką, uczniem, pacjentką. Spotkaniem za dwa dni, weselem za kilka miesięcy, wizytą u dentysty za półtora tygodnia, przytuleniem w przyszły weekend, byłam wakacjami pierwszymi od dziesięciu lat, marzeniem o pracy, nadzieją bez depresji. Byłam przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Nagle z trzech filarów mnie zostały dwa, z czego jeden – teraźniejszość – został bezduszną, a raczej duszną, mocno duszącą atmosferą przemieniony w „iluzję”. Wydaje mi się, że taka doba obecna na takim ciele niebieskim, niebieskim od masek, które każdy bez wyjątku musi nosić, nie może istnieć naprawdę. Tak oto jestem przeszłością połączoną z mirażem, co w sumie z moich obliczeń daje... No właśnie, ile daje? Może jakiś absurdalny matematyk mógłby mi pomóc to równanie rozwiązać. W sumie przydałby się też jakiś fizyk, bo czuję, że na tej planecie grawitacja nie działa, a ja odlatuję w przestrzeń kosmosu mojego umysłu. A może powinnam udać się na drugą stronę lustra i Szalony Kapelusznik mógłby poprowadzić mnie do lekarza z receptą, na której jest tabletka z wynikiem? Byle nie była czerwona albo niebieska, bo pomyślę, że to jakaś matrixcytoplazmatyczna. Tyle mogłoby się wydarzyć, a jednak nic się nie stanie.

Stoję w szeregu i wojskowy termometr mierzy ciepłotę mojego ciała. Kilka niewinnych liczb czy też kreseczek dzieli mnie od izolacji na tej nowej planecie. Skazana na banicję, stałabym się tylko pożywką dla władcy tego nowego świata. Może uraczyłby się tylko odrobiną? Może tylko nosem, bym nie czuła już samotności, albo zająłby więcej? Płuca pochłonięłyby całkowicie, by zabrać mi jedyne, co znane tu i najbliższe memu ciału – tlen. Nigdy nie dostrzegałam wagi tego, bez czego żyć się nie da. Zawsze karmiłam się materią kosztowną, a darmową gardziłam. Jaki mogłam mieć szacunek do czegoś, co pod dostatkiem miałam? Codziennie przez dwadzieścia cztery godziny wdech i wydech, ignorancko traktowałam, czy głęboki, czy



Weronika Prokopiuk „Na granicy znudzenia”

płytki. Co za różnica? Przecież ciało żyje. Tutaj obyczaj są zupełnie inne – tlen na wagę złota.

Przyzwyczajam się do oddychania przez maskę, do omijania każdej istoty szerokim łukiem, do bycia z dala, do siedzenia na pupie, która z czasem staje się coraz większa i chyba z pragnienia dotyku zadawała się krzesłem, a im więcej jej, tym więcej doznań. Zaprawiam się do tej rutyny jak do codziennej toalety. Jednak jedna sprawa nie podlega prawom przyzwyczajenia. Otóż w takich przestrzeniach rosną egzotyczne rośliny. Jedna inna niż wszystkie, domaga się wręcz gargantuicznej uwagi. Spotykałam ją już w naturze ziemskiej, ale nigdy w takiej okazałości. Tęsknica lękowa. Osobliwość nieprzeciętna. Potrafi być trująca, nawet śmiertelna. Rośnie ona w sercu, a im gleba bogatsza w miłość i bliskość, tym letalne kwiaty dorodniejsze. Ta roślina jest bardzo wrażliwa na brak dotyku. Wymaga się, by każdy jej posiadacz przynajmniej kilka razy w tygodniu miał możliwość przezskórnie podać dawkę zbliżenia cielesnego. Tutaj jednak jest to niemożliwe. Zakaz oficjalny, w gazetach, telewizorach, sieciach kontaktów, głównych wydaniach wiadomości. Tu pojawia się problem. Ona jak bluszcz oplata całe ciało, duszę dusi, łzami topi wszystkie wewnętrzne organy. Dylemat trudny – czy umrzeć z tęsknoty, czy z zarazy?

COVID-19 to planeta pełna dylematów. Wielkie głowy głowią się, jak rozwiązać jeszcze większe równanie niż moje. Co dodać, co odjąć, przez co pomnożyć, podzielić i wyciągnąć pierwiastek życia, żeby nie umrzeć. Od tych namysłów wzrasta ocieplenie globalne. Strach potrafi stopić największe lodowce niezwykłych koncepcji. Zresztą nikt do końca nie wie, kto tu rządzi. Podobno koronę nosi, ale czy ze złota, czy arseniku, wiedzą na razie nieliczni, albo liczni, bo prawie każdy wyposażony jest w licznik w nowoczesnym telefonie. Codziennie aktualizacja tych, na których łaska nie spadła. Dzień w dzień wzrost, spadek, wzrost, spadek – jak na giełdzie życia, nikt nie wie tylko, w co inwestować. Tak oto tutaj zmysł hazardzisty się czasem opłaca, można wygrać dużo, ale straty nie do odzyskania. I tak grać, nie grać, grać, ale chyba każdy w sumie musi tego doświadczyć – rosyjska ruletka dla każdego. Tutaj reguł nie ma. Pani wygrała? Nie szkodzi! Proszę spróbować jeszcze raz! I tu myśl: „Nic dwa razy się nie zdarza” pani Wisławy już na straży nie stoi.

Głód jest tu obecny wszędzie, gdzie się nie spojrzy, chociaż zasięg wzroku coraz mocniej ograniczony, więc czym tu się można żywić? Przecinasz emocje na pół, a tam nic poza pestką wspomnień o momencie narodzin. Do tego sprowadza cię kolejny dzień z rozkazem padnij – powstań. Tylko taki prowiant dostępny.

Trudno mi się tu odnaleźć. Nawet chyba siebie już nie szukam. Czekam z dobrymi znajomymi: z tłustymi włosami do pasa, z brakiem nadziei, z samotnością. Może zabiorą mnie stąd gdzieś, gdzie kwiaty pachną, ludzie mają twarze, bliscy się przytulają. Takie wspomnienia gdzieś z przecięcia pępowiny ciągle mi się przypominają. Nie, nie myślę tu też o wizjach raju

po śmierci, jakimś boskim odrodzeniu czy nowym narodzeniu, ale o tej normalności, co dana każdego dnia była. O tych dniach zwykłych i niezwykłych, o Tobie, moja kochana ze spełnionych marzeń... Czy te marzenia jeszcze istnieją? Czy już wewnętrzny grabarz gdzieś w podziemia ciała umysłu duszy je zakopał?

Urządziłam mieszkanie na tych gruntach niepewnych, co drgania sejsmiczne zakodowane przez smutek mają. Jak drga smutek? Z częstotliwością hasła: kolejny zakażony. Jestem i nie jestem, mam i nie mam, płaczę i doceniam. Na środku stolicy tej planety stoi posąg towarzysza dualizmu, który przypomina nam o skrajnościach, w jakie wpadliśmy na linii życia i śmierci. Czy istnieje jakieś pomiędzy? Nie wiem, codziennie o tym myślę... Pragnę przetrwać w instynkcie biologii, by potem żyć w instynkcie szczęścia, który tutaj, na planecie COVID-19, jest wynikiem bycia przeciwciałem tego wirusa. Niestety, w tej przestrzeni przeciw mojemu ciału działa anomalna forma bycia razem. Kodeks kontaktów społecznych pozwala jedynie na wycieki głosowo-wizualne przez ciekłokrystaliczne wyświetlacze. Wypikselowane makijaże na palmowym tle podrzędnego malarza. Widuję znajomych, co stali się kieliszkami wina chwiejącymi się na cienkiej nóżce, co nie udźwignęli wyprostu ciała na rozkaz szefa, który przed chwilą stracił to, co trzymało go przy życiu. On martwy z braku, oni martwi z nadmiaru alkoholu, co miał być rzeką miodem płynącą, w której raz utopione smutki na dno iść miały.

Tak przekraczając granice bytu i niebytu, planeta COVID-19 przyjmuje bez paszportu wszystkich: młodych, starych, brzydkich, ładnych, pracujących, bezrobotnych – każdy bez wyjątku ma szansę na awans w sztafecie do śmierci. Ja nie chcę biec, ale czy mam wybór? Czy ktokolwiek go ma? Mogę się ewakuować, popełnić autodafe – taka myśl chomątem na moim umyśle. Pytanie: co z rodzicami, braćmi i siostrami, co z mężem i innymi? Przecież ja tworzę ich resztki normalności w tym nowym świecie. Wszystkie te myśli rzeźbią mnie na znak zapytania. Czy my wszyscy jesteśmy z tej samej gliny? Marzę o tym, by przekroczyć granicę niewiedzy, niepewności, wątpliwości, czasu, by być już po końcu tej bezkompromisowej planety, której hojność polega jedynie na nieodbieraniu. Uniwersytet Strat tutaj to prestiżowa uczelnia z przymusem studiowania.

Jestem każdego dnia na granicy szaleństwa. Czy chcę się przez nią przedzierać, czy nie, to dylemat ze snów, bo wszystko się wydarzyło i bez pytania stałam się częścią czegoś, co sprawia, że każdego dnia muszę przekraczać siebie, żeby móc żyć. Jak więc żyć? Tak jak się da? Stałam się własnym lekarzem z receptą na przetrwanie, wytrzymanie, na próbę wytrzymałości. Jestem mistrzem sztuki upadku, z ciałem w siniacznych tatuażach, wykonanych precyzyjną igłą konfrontacji z tym nowym wymiarem natury tego miejsca.

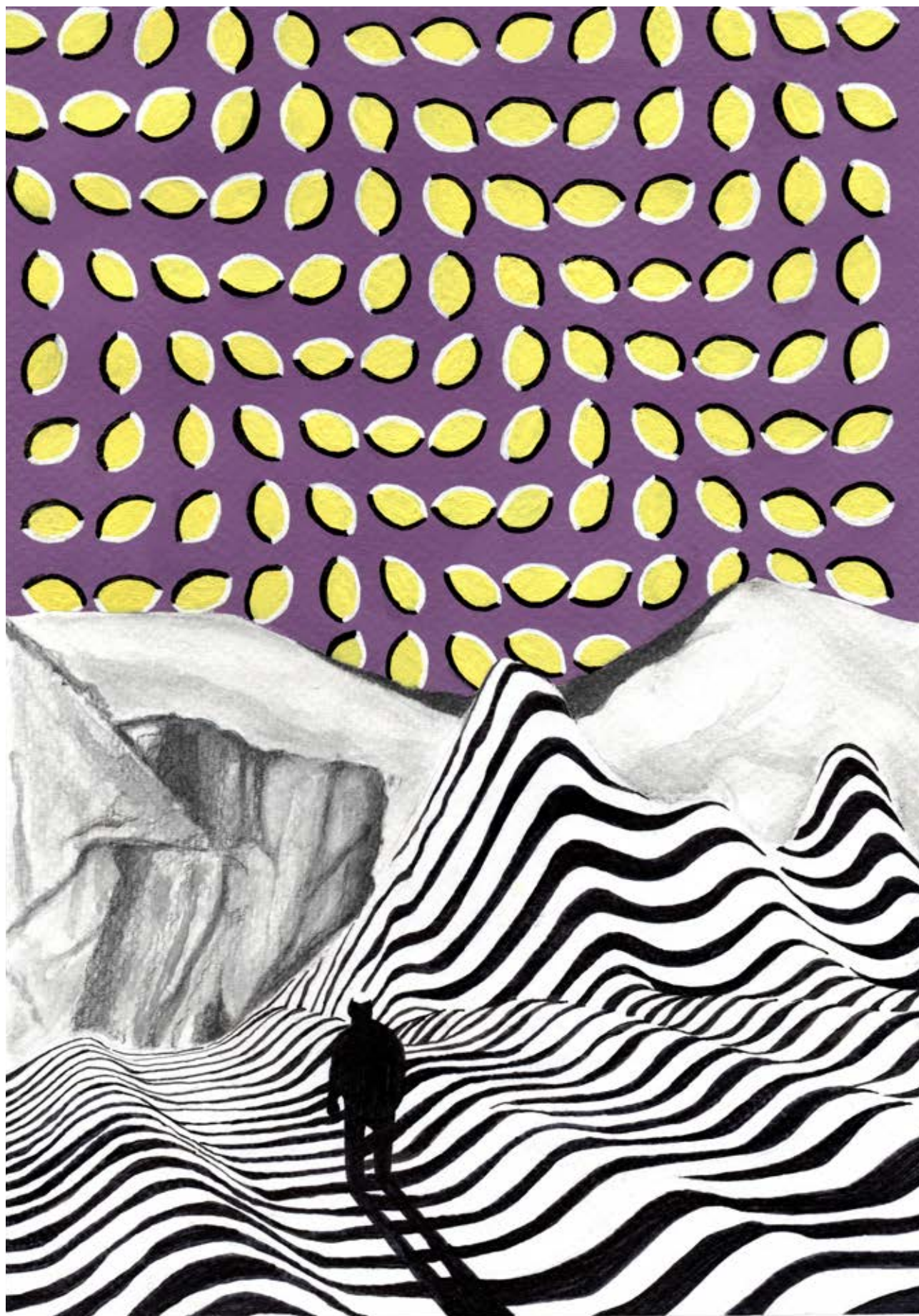
Czy już mniej ta bajka mi straszna? Ja się ciągle boję. A Ty?

Na granicy czasów

Z wielu grzechów, jakie popełniłem, największym jest chyba niezdecydowanie. Mężczyzna w pewnym wieku musi wiedzieć, jaką drogą chce podążać. Niestety, ja dalej nie wiem, dokąd zmierzam. Męczy mnie to i nie daje spokoju. Ale tkwi we mnie przecucie, że w tym dziwnym czasie, w którym obecnie żyję, odnajdę w końcu drogę. Własną drogę!

Sadзимy z mamą tulipany. Podobno najlepiej robić to jesienią. Rozgrzebuję miękką czerni ziemi, a mama, pochylona nad grządką, wtyka cebulki tulipanów. Próbuję w myślach uporządkować to wszystko, co się obecnie dzieje. Sięgam do mądrości starożytnych Rzymian „Divide et impera”. Dziel i rządź. Więc dzielę czas na ten sprzed pandemii i na ten, który niedługo nadejdzie. Oddzielam je grubą kreską, taką, jaką swego czasu zaproponował Tadeusz Mazowiecki. To jest klucz otwierający nowy etap w moim życiu. Przypominam sobie rozmowę z doradcą life coachingu, który wciąż do znudzenia powtarzał mi jak mantrę: „Spal wszystkie mosty za sobą! A ujrysz przed sobą nową drogę...”. Czuję, że moje myśli płyną w dobrym kierunku. Perspektywa zmiany mojego życia sprawia, że czuję się podniecony tym odkryciem. Nowe, nieznane obrazy przyszłości rodzą się w głowie. Z chaosu tworzy się porządek. „Uczynił więc Bóg sklepienie i oddzielił wody pod sklepieniem od wód nad sklepieniem”, „Potem rzekł Bóg: Niech powstaną światła na sklepieniu niebios, aby oddzielały dzień od nocy i były znakami dla oznaczania pór, dni i lat!”. W końcu zaczynam rozumieć sens tych słów. Zaczynam czuć to samo, co Stwórca. Oddzielam przeszłość od przyszłości. Tworzę własny wewnętrzny porządek. Własny kosmos! Niestety, po chwili mija to boskie natchnienie i znów dopadają mnie wątpliwości. Czy jestem gotowy na tak radykalną zmianę? Czy dam radę? Przekleństwo niezdecydowania opanowuje moją duszę.

Świat, który dotąd znałem, był prosty i nieskomplikowany. Dom, samochód i coroczne wakacje w górach lub nad morzem. Byłem niczym bohater filmu klasy B w nudnym i przewidywalnym scenariuszu życia. Od czasu do czasu zdarzał się jakiś pikantny moment, który urozmaicał przydługą fabułę i burzył ustalony porządek. Szybko jednak znikał w natłoku nowych doświadczeń. Będąc dzieckiem, często pomagałem mamie opiekować się schorowanym dziadkiem. Patrząc na mnie, wspominał obóz koncentracyjny. To, o czym mówił, było tak nieprawdopodobne, że kojarzyło mi się bardziej z nocnymi koszmarami niż z rzeczywistymi wydarzeniami. Zło było w nich tak niewyobrażalne, że czasami wątpiłem w prawdziwość jego istnienia. Współczułem dziadkowi, ale byłem przekonany, że więcej już się to nie powtórzy.



Aleksandra Buczyńska „Na granicy końca świata”

Teraz wiem, że się myliłem. Ono powróciło! Przyjęło tylko inną formę. Stało się bardziej zakamuflowane i skryte. Nie manifestuje się w łapaniach, bombardowaniach, krematoriach czy wszelkiej maści pogromach. Ale wystarczy wyjść za żywopłot ogrodu, aby poczuć jego obecność. Może być za ladą sklepu, w miejskim autobusie czy na pobliskim bazarze. Wrogiem może być sąsiad, znajomy z pracy czy nawet wierny przyjaciel. Trzymaj dystans, noś maseczkę i myj ręce to jedyna broń przeciwko niemu! Więc staram się jej używać. Gdy rano jeden z tutejszych harcerzy przyniósł mamie zakupy, mamrocząc pod nosem słowa Wergiliusza „Timeo danaos et donna ferentes”, nie wpuściłem go za bramę. Skrzywił się z niesmakiem i pewnie pomyślał, że jestem niewdzięcznikiem. Ale w tych okolicznościach nie mogłem inaczej. Postanowiłem, że następnym razem powiem mu, jak bardzo jestem wdzięczny za pomoc.

Dostrzegam cień mamy. Wylania się z wieczornej mgły. Czuję, że ma mi coś ważnego do powiedzenia. Przed chwilą poinformowano ją telefonicznie, że ma raka jelita grubego. Mam wrażenie, że świat pogrąża się w gęstej mgle. A ona ze spokojem przykłęka nad grządką i dalej grzebie w ziemi, jakby nic się nie stało. Ocierając ukradkiem łzy, podaję jej cebulki kwiatów. Zerka na mnie z wyrzutem. Tak, wiem! Przecież nie chciałaś wychować mnie na mazgaja. Z trudem powstrzymuję się od płaczu. Udamę twardego mężczyznę. Myślę wracam do czasów sprzed pandemii. Przypominam sobie wszystkie dobre chwile, które z nią spędziłem. Zastanawiam się, czy te wspomnienia będą pasowały do nowego czasu. Czy nie będą ograniczały moich wielkich planów, które rodzą się już w głowie? Niestety, nie potrafię na to odpowiedzieć. Ale czuję, że mosty łączące przeszłość z przyszłością zaczęły płonąć.

Dochodzę do wniosku, że w czasach pandemii moje życie stało się bardziej dynamiczne. To wszechobecne ryzyko zarażenia sprawia, że każde wyjście poza bramę ogrodu jest niczym rosyjska ruletka. Zapewne dawniej poradziłbym się Pytii. Wychodzić czy nie wychodzić? Ale obecnie wystarczy mi miejska gazetka, którą regularnie podrzucają mi pod płot. Zaczynam od ostatniej strony. Z niepokojem obserwuję rosnącą liczbę nekrologów. Wiem, że kilku moich znajomych z czasu, który już przeminął, cierpi na choroby współistniejące. To efekty codziennego stresu i zabijania go nikotyną, kofeiną czy alkoholem. Boję się, że pośród tych nazwisk, które regularnie publikuje gazeta, odnajdę bliskie mi osoby. To oczekiwanie na cios, który w końcu i tak spadnie, jest dla mnie wyjątkowo stresujące. Czasami rozmawiam z sąsiadem zza płotu. Jest święcie przekonany, że w niebieskich rejestrach robią porządki i biorą się już za tych z naszej półki. Gdy mówi o półkach, uśmiecham się w duchu, bo widzę leżące na nich sery z pobliskiej mleczarni, które dojrzewają sobie w spokoju. Niestety ta smakoszka zza światów nie ma żadnych zahamowań. Jak jej powiedzieć, że jestem jeszcze niedojrzały?

Nad ranem karetka zawiozła mamę do szpitala. Nie wiem, jak to możliwe, ale stwierdzono u niej koronawirusa. Czuję się winny. Jak mogłem do tego dopuścić? Gapię się w telewizor.

Setki ludzi na łóżkach. Podłączeni do respiratorów, otoczeni przez ubranych w kosmiczne kombinezony lekarzy i pielęgniarki, nie rozumieją, co się wokół nich dzieje. Prerażeni, błagają anioły opatulone plastikiem, z goglami na oczach i z nabazgranym imieniem na plecach, o odprowadzenie ich dusz przed oblicze Boga. Ale czują, że to niemożliwe. W błyskach kontrolek, w buczeniu maszyn i jękach umierających dostrzegam wizję Sądu Ostatecznego Hieronymusa Boscha. Niestety gdzieś tam leży moja mama. Nie wytrzymuję i wyłączam telewizor. Ustawiam w radiu muzykę. „Ticket to the Moon” Electric Light Orchestra wypełnia całą przestrzeń pokoju. Myśli przestają pędzić i ustawiają się w kolejce na płycie kosmodromu. W tej chwili odleciałbym gdzieś na jakąś odległą planetę nieznaną ludzkości. Byłoby daleko stąd. Zapomniałbym w końcu o koszmarnych obrazach, którymi karmi mnie telewizja. Lecz po chwili nachodzi otrzeźwienie i znów wraca rozsądek. Przecież Wszechświat to pustka, cisza i przeraźliwe zimno, a ja nie znoszę zimna.

Czuję, że świat bierze głęboki wdech przed skokiem w nieznaną przyszłość. Dobrze byłoby mieć jakiś plan na przyszłość. We wszystkich amerykańskich filmach, w których bohaterowie mają jakieś problemy, zawsze któryś z nich pyta „Czy mamy jakiś plan?”. Więc zadaję sobie to samo pytanie. Przypominam słowa Zaratustry, który mówił: „Wszystko, co najcięższe, juczny duch bierze na siebie; podobny wielbładowi, który spieszy na pustynię objuczony...”. I to mi uświadamia, że przez te wszystkie lata byłem juczny wielbłądem. Postanawiam to zmienić! I to jest mój plan! Nie będę godzić się już z tym, co przynosi czas. Nie chcę cierpieć lęku i samotności. Chcę w końcu wykrzyczeć losowi swój ból. Zerwać kajdany codziennego lęku i przeobrazić się w lwa, o którym mówi Zaratustra: „...na pustyni najsamotniejszej dokonuje się druga przemiana: lwem staje się tutaj duch...”. Znika w końcu wieczne niezdecydowanie. Pojawia się radość, której dawno nie odczuwałem.

Dzielę ludzi na tych, na których mi zależy, i na tych, którzy nic już dla mnie nie znaczą. Chcę być otoczony przyjaciółmi, jak kamiennymi kręgami Stonehenge. Niestraszny mi czas, kiedy oni będą stali przy mnie. A reszta? Niech zostaną w telefonie, Messengerze czy Skypie, jako ikony. W nowo rodzącym się czasie nie ma dla nich miejsca.

Palę mosty! Zrywam z tym, co było. Grzebanie się w śmietniku minionych chwil to strata czasu. „Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy. Ważnych jest kilka tych chwil, tych, na które czekamy...”, śpiewa Marek Grechuta.

Po kilku dniach zadzwoniła mama i powiedziała, że czuje się już lepiej. Odetchnąłem z ulgą. Niby wszystko wróciło do normalności. Ale czułem, że to tylko pozory. Mój świat się zmienił. Czas się zmienił!

Zerkając na migoczący ekran komputera, znów odczuwam chęć pisania. Prorocze okazały się słowa Jonasza Kofty: „Bo gdy się milczy, milczy, milczy, to apetyt rośnie wilczy na poezję,

co być może drzemie w nas”. Staję się dzieckiem. Jak dziecko zaczynam bawić się słowami tak, jak radzi Zaratustra: „Ale powiedzcie, bracia moi, cóż takiego potrafi dziecko, czego nawet lew nie potrafi? Czemu lew grabieżca musi stać się jeszcze dzieckiem? Niewinnością jest dziecko i zapomnieniem, rozpoczynaniem od nowa, grą, kołem, co samo z siebie się toczy, pierwszym ruchem i świętym, wymówionym tak”.

Dziadek często wspominał obóz koncentracyjny. Z jego słów wywnioskowałam, że przeżył tylko dlatego, że potrafił zwizualizować swoją przyszłość. Bez przerwy śnił na jawie powrót do rodzinnego domu. W jego myślach wciąż tkwił obraz wigilijnego stołu i biały opłatek, którym przełamuje się ze swoimi bliskimi. A głos córki śpiewającej „Cicha noc, święta noc, pokój niesie ludziom wszem...” wciąż kołysał go do snu na zimnej pryczy.

Ja również wizualizuję przyszłość. Dostrzegam w niej nową, ludzką solidarność. W cenie znów będzie szczerą rozmowa, uścisk dłoni oraz prawdziwa łza na twarzy człowieka. Leibniz powiedział kiedyś, że żyjemy w najlepszym ze światów. Myślę, że z tym się trochę pospieszył. Uważam, że dopiero teraz mamy szansę go utworzyć. Przygotujmy się do tego. Przecież trzeba będzie mu trochę pomóc, jak dziecku stawiającemu swój pierwszy krok.



Barbara Medajska „Kwarantanna seniora”

Zaraźliwe uczucia

Obudziłam się jak zwykle. Jednym zmęczonym okiem spojrzałam na okno. Szarość wkra-
dała się ostentacyjnie. Nie była to tylko kwestia mgieł. Szare było moje serce i szare były moje
myśli. To już następny dzień izolacji. Izolacji od świata, od ludzi, ale niestety – nie od siebie.
Ze sobą trzeba było żyć. Trzeba – właśnie, bo nie lubię tego słowa. Trzeba zrobić, trzeba za-
łatwić, trzeba... Nakłada to jakiś niechciany obowiązek. A na to nie starczało sił. Pandemia
zawłaszczyła każdy fragment rzeczywistości. Życie w pojedynkę wżerało się do łóżka. Które
ogrzewane było tylko jednym, moim ciałem. A tak ono pragnęło dotyku, tulenia, ciepła. Cóż
pozostawało? Pogodzić się z niemożnością, z nijakością dni, z obojętnością coraz mocniej od-
czuwalną? Dawno, dawno temu – wydaje się, że jakby w innej epoce, w której to człowiek był
blisko, na zawołanie – żyłam w bańce. W bańce określoności, w granicach przez siebie ozna-
czonych. Moje jestestwo nie domagało się tego, do czego tęskniłam teraz. Ileż było wówczas cza-
su straconego. Na zbytki, emocjonalne fanaberie. Nie potrzebowałam – wydawało się – pomocy,
nieświadomie podejmowałam wysiłki zorientowane na przemijanie. Aż przeminęło. I obudzi-
łam się w magmie i bałaganie własnego nieutulenia. Dziś, przez pandemię, przez zamknięcie
w czterech ścianach oczekiwałam ukojenia. Skąd tylko miałyby spłynąć? Przez Messengera?

Wstałam z łóżka. Jedna noga na podłodze, druga zawisa pomiędzy. Ta przestrzeń na waha-
nie. Czy to teraz? Czy teraz mam zacząć schodzenie w dół, w piekło dystansu społecznego? Czas
na kawę i śniadanie. Jedzone samotnie, trawione powoli w głuchej ciszy. Jedyne, co mogłam dziś
wykonać, to telefon do przyjaciół. Rozmowa była wentylem bezpieczeństwa i ostatnim bastio-
nem normalności. Siadłam przed laptopem. By karmić się życiem online. Muzyka sączyła się
z głośników. Świat zamknięty w ekranie. Scrollowanie informacji, spraw pryncypialnych, proble-
mów bieżących. Włączam się w dyskusję, umieszczam kolejne już selfie. Ponoć jestem królową
takiej fotografii. Więc czekam na lajki. Serduszka. Reakcje „trzymaj się”. Interakcje facebookowe
zapełniają dojmującą samotność. Współczulni ze mną. Na odległość światłowodów.

Nie miałam zbyt wielu wyborów. I ta beznadziejność niezmienna, ta bezradność, ta bezsilność
wobec zdarzeń kosmicznych. Jeden nieostrożny ruch, by skończyć z pandemiczną vegetacją. Osu-
nę się w przepaść własnych lęków, pochłonie mnie rozpacz, zaleje mnie fala grozy. Wszak zmie-
rzam w tunelu bez światła. Z silnikiem napędzanym przez samotność. Paliwo płynie z komunika-
tów: statystyki są nieubłagane. Śmierć. Wszędzie śmierć. Pochłaniająca, ostateczna, nieodwracalna.

Zamykam dostęp do życia innych. Chce mi się tańczyć, czy jednak nie jest to szaleń-
czy *danse macabre*? Wodzirejem jest wirus, zapodaje muzykę śmiertelną. Spoglądam w lustro.
Tam odbija się twarz tak mi dobrze znana, oswojona, moja przecież. Wpatruję się ślepiami

w jej oczy. Co czuje? Jaka jest? Jaka będzie jutro? W dziwny grymas się układa. Brew podnosi. Ze zdziwienia, z poczucia rozczarowania, frustracji. Że jest jak jest. Strach zrodził kolejną zmarszczkę. Tęsknota za czyimś ramieniem, spojrzeniem pełnym pewności, że przecież dobrze będzie. Że przetrwam. Jednak trwanie nie wystarczy. Moja dusza wyrwa się do ruchu, przemieszczeń, do życia w końcu. Zawodzenie słyszalne na bliższą okolicę. W końcu jakaś łza wypływa. Nie niesie ukojenia ani oczyszczenia. Żłobi w nałożonym pudrze koryto głębsze od Mierzei Wiślanej. Jest namacalnym znakiem, że jest po prostu źle.

Niepewność, ostrożność, dłonie zeschnięte od tak częstego mycia i dezynfekcji.

Jest to po prostu do szpiku kości smutne. Towarzyszy mi myśl o byciu samej ze sobą. O takim totalnym zatopieniu w chwili. Banalne tu i teraz materializuje się w postaci filmów, książek, muzyki, we mnie samej. Medytacja, skupienie na światłach we własnym pokoju. Każdy cień zauważony, mucha złapana, a niepokój skonstatowany. Cóż mam począć? Poddać się? Załamać?

Jeszcze jest we mnie jakaś nieogarnięta do końca siła. Poczucie mocy, płynące z serca, ale też z wdzięczności dla każdej pozytywnej iskry od drugiej ludzkiej istoty, której teraz doświadczam. Jest to tak piękne, zarazem wzruszające, trudne, bolesne, ale jakże prawdziwe. Bez zbędnej kreacji, bez sztuczności. Bo na to nie ma już czasu.

Próbuje się we mnie wtłoczyć filozofię sprawczości, działania, decyzji, wyboru, niezależności. A moją ostatnią realizacją jest to, że ode mnie zależy tylko: wstać – nie wstać z łóżka, założyć sukienkę czy spodnie, zjeść kanapkę, popić kawą.

Płynę po prostu w całym tym wartkim strumieniu życia. Obijam się o brzegi, zatapiam się w fale, jednak czy istotą jest to, by wbrew biegowi wody starać się płynąć pod prąd? Bo niby z prądem płyną tylko śmieci? Nie zgadzam się. Z prądem płyną ci, co pragną balansu, ci, co wypłynąwszy ze źródła, godzą się na cały inwentarz rzeczny – i lilie, i muł, i rzęskę wodną włączając do oczu. Ileż więcej akceptacji jest w takim dryfowaniu. Bo wcale nie trzeba, nie muszę wcale, wcale nie chcę napinać się, żyć w stresie, co na końcu mnie tej rzeki spotka.

Wpłynę w morze. Które na wieczność mnie pochłonie.

Niepokój. Lęk. Zmartwienie. O widzenie nowego, otwarcie się na inny etap. Pożegnanie z dzieciństwem, żaloba po umarłej we mnie beztroskiej istocie. Niepokój także o bliską osobę. O stan zdrowia, o zmienione ciało, o przyszłość. O codzienność, jak będzie wyglądać, ile rzeczy do ogarnięcia. Mota się nić życia. Masz wrażenie, że kryzys rozdarł ci serce. Wypłakujesz kolejne strachy. Nagle centrum świata zmieniło kompletnie umiejscowienie. Nie ty stanowisz teraz o wyborach, decyzja została podjęta nie przez ciebie. Czy to rozwojowe? Uświadomić sobie swoją małość? Swoją brak sprawczości? Na co mam teraz wpływ? Na przedłużające się czekanie? Mogę opłacić rachunki, mogę wystawić śmieci zgodnie z harmonogramem, mogę dojechać w nowe miejsce samochodem. To wyzwania, zadania do podjęcia. Życie pokazuje mi trochę figę. Gdzieś w odległej czasowo przestrzeni wiedziałaś, przeczuwałaś czyjeś odejście. Bo przecież taka jest kolej. Losu. I nagle, z dnia na dzień, bez ostrzeżenia, bez żółtego światła – rąbnęłaś o wizję końca.

To się wydarza. Jakby pewna tajemnica powoli się przede mną odkrywa. Ktoś mi palcem grozi.

Uważaj, wieczność nie trwa wiecznie.

Trasa S8 zamilkła. Jestem przyzwyczajona raczej do jej szumu w tle podwórka. Wychodzę na taras, mój szlak to chodnik do bramy i z powrotem. Staram się sfilmować mikroświat wokół. Bażanty nurkują w krzakach. Sikorki wzlatują ku niebu. Jaskółki, te znaki wiosny, pochowały się gdzieś w dziury, jedynie ta na nadgarstku wiernie czuwa. Wielka Noc ogarnia przestrzeń. Wbrew logice w tę Noc zamiast księżycy – słońce opala twarz. Piegi się mnożą. Droga pusta, nawet kurz się nie unosi, bo przecież brakuje na niej ruchu. Staję jak wryta. Wszak nie to było spodziewane. Przyroda w jakiś sposób, już nawet nie przebiegły, tylko tak wprost – chce nas wybić. Zbierała swe siły wiele lat, zdominowana, przeklęta, a jednak to ona teraz rzuca uroki na nas. Potrzebujemy szeptu modlitwy, bębniącego szamana, co oddali od nas te klątwy. Perspektywa dalekobieżna skurczyła się do jednej trasy. Samoloty zapikowały. Pociągi śpią na dworcach. Samochody zaludniają garaże.

Tylko ja – atom – stoję przy bramce, nasłuchuję, przekonana w tej sytuacji o niesłuszności swego bytu.

Chyba potrzebujemy konkretnego. Los daje nam właśnie z liścia w twarz i cuci z jakiegoś lepkiego snu. Do tej pory nam się „upiekało”. Z hasłem „jakoś to będzie” na sztandarach parliśmy do przodu niczym cywilizacyjny walec. Pożary lasów? Gdzieś na antypodach, nas to przecież nie dotyczy, no dooobra, wyślę dwadzieścia złotych na ratowanie koali. Jakoś to będzie. Wojna w Syrii? Daleko od mojego domostwa. Ale zorganizuję zbiórkę na fejsie, co by wspomóc biednych cywili. Jakoś to będzie. Rzesze migrantów na granicy? Eee, wyślijmy żołnierzy NATO, niech uszczelnia granice, łapią na morzu topiące się jak łupiny orzechów pontony. Na Instagramie umieszczę fotę umierającego dziecka, niech followersi się wzruszą. Jakoś to będzie. Ocieplenie klimatu? Ojej, w piecu wygasło, dołożę trochę plastiku, nic się nie stanie, jak z jednego komina trochę dymu uleci. Jakoś to będzie.

Jesteśmy samolubni. Dbamy o własne podwórko. O swoich bliskich. Jesteśmy nierozważni, bezpardonowi, niefrasobliwi. Aż w końcu poczuliliśmy (mam niestety wrażenie, że wciąż tylko niektórzy), że cała nasza planeta jest w jakiś dziwny, zaskakujący sposób ze sobą połączona. Oplatają nas kable, przez które do tej pory dostawały się wirusy wirtualne, siły zniszczenia w naszych twardej dyskach, nasze dane wrażliwe wyciekały do CIA, jednak nie zagrażało to naszym płucm. Aż do teraz. Gdy nagle poczuliliśmy, jak oplatają nas także niewidzialne sieci, przez które przedostał się wirus do naszych biologicznych ciał. Konkretnie? Poniekąd. Poczucie zagrożenia. Wstrzymanie oddechu. Kiedy to tak znienacka trzeba zaciągnąć ręczny w tym walcu. Kiedy ograniczone interakcje międzyludzkie są na wagę złota. Nie witamy się uściskiem ani buziakiem. Zachowujemy odstęp. Idziemy w las. Ważymy każde, teraz tak cenne słowo. Internet stał się naszym domem. Media społecznościowe członkami naszych rodzin. To ratunek. Ostatni bastion w walce. Schron.

I to nasze „jakoś to będzie” nagle nie wystarcza. Nagle sąsiad umiera. Nagle to my zakrywamy twarz maseczką. Jakoś to będzie? Konkretnie TO już jest.

Zamaskowani

W parku na białostockich Plantach od strony Wydziału Prawa Uniwersytetu w Białymstoku leży wielki kamień. W czasie pandemii ktoś narysował na nim ludzką twarz. Już wcześniej głaz kojarzył się spacerowiczom z ogromną głową. Na kamiennym obliczu zawieszono wielką ochronną pleksi, która miała przypominać wszechobecne dziś maski i przyłbice. Tym sposobem kamień zyskał nowe życie, ochoczo utrwalane na kolejnych zdjęciach zamieszczanych w serwisach społecznościowych. A rozumiany symbolicznie kamień to przedmiot nieoswojony, człowiecze rysy białostockiego głazu wrzucają go w świat czegoś trwałego, archetypicznego. Rysunek i maska uczyniły go „osobą”, użyczyły mu bytu.

Bo maska to przedmiot ciekawy, ale i niebezpieczny. Zwalnia od odpowiedzialności: w mieście można zobaczyć zamaskowanych ludzi wyrzucających papierki poza koszem, niesprzątających psich odchodów, niesegregujących śmieci. Noszenie maski to nie tylko ochrona przed wirusem, to również oswojenie obcości, która nagle się pojawiła w naszym życiu. Istotą maski jest przemiana, stajemy się kimś innym, po to, aby narodzić się na nowo. A przecież maska nie wzięła się znikąd, oswajaliśmy się z nią w kulturze od lat. Przebieraliśmy się w czasie karnawału, a w szkołach byliśmy uczeni o zamaskowanych bohaterach, postaciach udających kogoś innego: Konrad Wallenrod lub ksiądz Robak, czyli Jacek Soplica. Przyswajaliśmy znaczenie metaforycznych masek w twórczości Gombrowicza, czytaliśmy o maskach w wierszach Stachury.

Powinniśmy się do nich dawno przyzwyczaić, także w związku z rolą w popkulturze, gdzie maska ma siłę przemiany każdego śmiertelnika w bóstwo o nieograniczonej sile i mocy. Każdy dziś może poczuć się jak superbohater: Zorro, Batman, Superman. Kultura filmowa przekazała także wiele obrazów masek demonicznych, które przejmują władzę nad swoim właścicielem, wspomnijmy chociażby *Lokatora* Polańskiego czy znaną komedię *Maska* z Jimem Carreym.

Z maskami na twarzy oswajaliśmy się powoli, teraz nie potrafimy bez nich żyć. „Maseczka pasuje mi do szalika” – rzuca rano żona i wychodzi do pracy. Maski, jak bielizna, została niezbędną częścią garderoby. Emblematy, symbole, oznaki na masce stają się sposobem sygnalizowania różnych światopoglądów, narodowości, hobby, miejsc zamieszkania. Do lamusa odeszły przerażające maski „doktora plagi” z dziobami, wypełnionymi jałowcem, melisą, mięta, kamforą, czyli zapachami i olejami, które według rozumienia lekarzy z przeszłości miały chronić przed zakażeniem.



Krzysztof Firlej „ZOZO 2020”

Noszenie zakrycia twarzy reguluje nasze życie już od wyjścia z mieszkania. Kiedy bezpiecznie można założyć maskę, wychodząc z domu? Już na klatce, na schodach czy po wyjściu na podwórko? Czy schody są na tyle przestrzenią bezpieczną, że mogę poczekać z zasłonięciem twarzy? Bywają paradoksalne sytuacje związane z noszeniem masek; kiedy zamaskowany zapukałem do drzwi na piętrze, żeby pożyczyć cukier, sąsiad odruchowo zakrył twarz przypadkowym materiałem znalezionym na półce z czapkami. Był to włochaty szalik jego żony, końcówki weszły mu do ust, zakrycie twarzy omal go nie zadusiło. Kiedy indziej znajoma poprawiała makijaż przed spotkaniem w innym budynku. Wychodząc, założyła maskę, która od wewnątrz rozmazała jej szminkę. Po zdjęciu osłony z twarzy jej oblicze przypominało śmierć z *Maski śmierci szkarłatnej* Poego, gdzie czerwona plamistość ciała była dowodem zakażenia, a choroba w ciągu trzydziestu minut usuwała każdego spoza koła żyjących.

Epidemia wyróciła nasze życie do góry nogami, w mitologiach pojawia się nagle, symbolizuje głos z zaświatów. Karę za obrazę nieśmiertelnych. Obecny wirus jest tym straszniejszy, iż dla wszystkich nieprzewidywalny i każdy przechodzi go w odmienny sposób. Nie ma krwi, nie widać rozkładu, zwłoki są dyskretnie usuwane i spalane, przy udziale nielicznej rodziny. Wraz ze zmianami, w których uczestniczymy, zmieniają się role i funkcje masek. Roger Caillois wymienił trzy: ukrywanie, przeobrażanie, budzenie strachu. Dziś można dodać do tego kolejną: ochranianie. Nie tylko przed wirusem, także przed nami samymi, bo przecież taki jest cel noszenia masek – aby nie zarażać innych.

Czy są jeszcze jakieś pozytywne aspekty noszenia maski? Gaston Bachelard, znany antropolog literatury, pisał w *Fenomenologii maski*, iż schowany za maską człowiek „szybko uzyskuje poczucie bezpieczeństwa, jakie daje zamknięta twarz”. Maską oferuje ukrycie natychmiastowe. W zimie to mała otulina, jest w niej ciepło, mroźny wiatr nie dostaje się do gardła, co za tym idzie, sezon rowerowy można wydłużyć na chłodniejszy okres. Zamaskowani inteligenci nie obawiają się już osiedlowych plotek, które pojawić się mogą po codziennych wizytach po alkohol w okolicznej Żabce. A dzieci są zadowolone, bo nie muszą myć zębów.

Można także spotkać zaułki w mieście, gdzie po prostu śmierdzi. Zjeżdżając na rowerze ulicą Popiełuszki ze Słonecznego Stoku w stronę tunelu, dojeżdża się do zaniedbanego pasa ziemi niczyjej, z zanieczyszczonym ciekim wodnym okalającym ulicę. Maską ratuje wtedy co wrażliwsze nosy. Podobnie gdy mijam bramy, przejścia podziemne, zaułki, w których ktoś kiedyś nie wytrzymał z potrzebą. Ostatnio w jednym ze sklepów poczułem osobę będącą na bakier z higieną. Nieprzyjemny zapach ciała został zneutralizowany przez szczelną maskę, byłem szczęśliwy, że ją noszę. Dzięki ochronie na twarzy zapach smogu czuje się mniej intensywnie, zwłaszcza na osiedlach, gdzie w piecach dalej pali się nie wiadomo czym.

Ze zdziwieniem oglądam współczesne seriale. Patrzę na uśmiechy, zęby, papierosy, żute

gumy. Świat sprzed zamaskowania, być może kręcony już w czasie pandemii, ale udający, iż ona nie istnieje. Zaraza jest pomijana, wysterylizowana. Aktorzy po zejściu z planu, gdzie udają rzeczywistość, wcielają się w prawdziwy świat przez założenie maski. A gdy oglądam starsze filmy i widzę przechadzające się po chodnikach tłumy, to łapię się na refleksji: gdzie są maski tych wszystkich przechodniów?

Dziś nawet na pomniki zakładane są maski. Jadąc ulicą Hetmańską, na terenie jednego z prywatnych domów można zobaczyć gigantyczny posąg. Figura ta zawsze budziła zdziwienie kierowców, z czasem wszyscy się do niej przyzwyczaili. Twarz z blachy rano odbijała wschodzące słońce, wieczorem czerwieniła się, patrząc na zachód. Obecnie nikt nie widzi jej oblicza, bo zostało skrzętnie zamaskowane kawałkiem materiału.

Nie ma już przypadkowych spotkań, mijamy się w parkach nierozpoznani pod maskami, możemy się jedynie domyślać tożsamości osób. Nasze telefony, które posiadają funkcje rozpoznawania twarzy, mają kłopot z identyfikacją swoich właścicieli. Ostatnio na Rynku Kościuszki nie rozpoznałem własnej siostry. Twarz kojarzy się z mimiką, ekspresją, komunikacją, o filozofii twarzy pisali współcześni filozofowie. Emmanuel Levinas twierdził, iż aby poszukiwać prawdy, muszę wcześniej obcować z jakąś twarzą. Według Tischnera człowiek maskujący swoją twarz ma nieszczerą intencję. Maską zmienia wygląd, to zastępcza, pozbawiona podekscytowania druga twarz, kamuflaż, którym zasłania się prawdziwe oblicze. Teraz nawet mało istotna dyskusja na zewnątrz polega na grze, nie widzimy emocji, nie wiemy, czy to, co mówimy drugiej osobie, buduje między nami jakąkolwiek platformę komunikacji. Po oczach sondujemy światopogląd spotkanej na ulicy postaci i jej intencję, stosunek do religii, polityki, kultury, wreszcie pandemii. Mogę sobie tylko wyobrazić, jakie męki przeżywają zakochani na pierwszej randce, gdy za sygnał odwzajemnionego uczucia musi służyć wyłącznie błysk podekscytowania w oczach.

Maski zawsze były związane z ważnymi przemianami i wydarzeniami założycielskimi dla społeczeństwa. Żyjemy w czasach, które na długo pozostaną w pamięci, zwłaszcza we wspomnieniach naszych dzieci – szczególnieznaczonych pandemią, bo z ich codziennego kalendarza zniknęła szkoła, instytucja dbająca nie tylko o naukę najmłodszych, ale o ich wychowanie, socjalizację, kształcenie umiejętności pozwalających przetrwać w coraz mniej stabilnym świecie. Jaki będzie nasz świat, nasze domy, nasze przyjaźnie, gdy w końcu zdejmemy maski i zobaczymy siebie dokładnie takimi, jacy jesteśmy? Kim się staniemy po epidemii, co z nas zostanie, jak będziemy chodzić po mieście, komunikować się z innymi? A może nic się nie zmieni, bo zawsze nosiliśmy jakieś symboliczne maski, tylko sobie tego nie uświadamialiśmy? Przecież już Wojacek pisał kilkadziesiąt lat temu, patrząc w lustro: „To nie twarz, tylko gruba maska”.



Magda Siemieniuk „Spokój na starość”

Na granicy... wytrzymałości

Na granicy... wytrzymałości – tymi słowami mogłabym określić swój stan psychiczny praktycznie każdego dnia od pamiętnego wydarzenia marca tego roku, które wywróciło nasz świat do góry nogami. Mam na myśli oczywiście początek epidemii. Było to dla mnie jak grom z jasnego nieba. Nie wiedziałam, o co chodzi, co się dzieje, nie mogłam się absolutnie w tym odnaleźć. Zamknięte granice. Zamknięte sklepy. Zamknięcie lasów, parków i dla mnie najważniejsze, z racji wykonywanego przeze mnie zawodu: zamknięcie wszystkich placówek kultury.

To był szok. Rozpacz nie do opisania. Lęk. Strach. Niepewność. Nie jestem nawet do końca pewna, czy którekolwiek z tych słów oddaje tak naprawdę to, co wtedy czułam.

Ten rok zaczął się dla mnie tak dobrze. Pierwsza trasa z moim autorskim monodramem „Być jak Meryl”, poumawiane kolejne spektakle, zaproszenia na wywiady w radiu, planowanie premiery drugiej części spektaklu... Mnóstwo się działo, cały czas byłam w podróży. Jednego dnia spektakl w Lublinie, drugiego w Choroszczy. Kręcenie ujęć do filmu.

Nic nie zapowiadało tego, co spotkało mnie, a właściwie całą ludzkość, dosłownie chwilę potem. I nagle jakby ktoś spuścił powietrze z bańki, w której się znajdowałam.

Jakby nacisnął „pauzę”.

Powiedział „stop”.

Czy to wszystko było snem?

Może mi się tylko wydawało, że było tak cudownie?

Może dlatego powinnam się domyślić, że w końcu coś złego się stanie?

Podobno najbardziej boli nas porażka, gdy „spadamy z wysokiego konia”. I po tym, czego doświadczyłam, mogę w pełni powiedzieć, że to prawda. Bardzo trudno było mi się pogodzić z tym zamknięciem. Patrzyłam z przerażeniem, że to, co planowałam, na co sama zapracowałam, po prostu ginie w przestworzach nicości.

Jak to nie będzie można wyjść z domu?

Czy tak właśnie rozpoczyna się wojna?

A może to koniec świata?

W mojej głowie przez długi czas kłębiły się same czarne myśli. Z jednej strony popadałam w czarną rozpacz, nieraz krztusząc się własnym płaczem. Nie mogłam nawet oglądać jakichkolwiek wiadomości. Płynące z kraju i ze świata informacje przepełniały mnie zgrozą i budowały w mojej głowie obraz totalnego kataklizmu, końca cywilizacji.

Czy tak właśnie miało się skończyć moje życie?

Czy przeżyłam je tak, jak chciałam?
Czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę osoby, które kocham?
Moich dziadków, wujków, ciocie, kuzynów, przyjaciół?
Czy jeszcze kiedyś ich uścisknę i przytulę?
Czy gdzieś polecę?
Czy zagram znowu mój monodram?
Czy stanę na scenie przed publicznością, by wykonywać zawód, w którym tak się spełniam?
Jedno pytanie goniło za sobą kolejne.
Było ich mnóstwo.
Niestety, wszystkie pozostały bez odpowiedzi.
Poczułam się zawieszona jak w próżni.
Nawet w nocy nie odpoczywałam.
Cały czas czuwałam i chciałam, by to tylko był senny koszmar, z którego zaraz się obudzę.
Jednak z każdym dniem coraz bardziej dobitnie uświadamiałam sobie, że tak teraz wygląda „rzeczywistość”. Kiedy już przez moment odzyskałam w sobie swój dawny optymizm i upór, twierdząc przed moimi rodzicami, że na pewno po dwóch tygodniach nas „wypuszczą”, pojawiły się kolejne obostrzenia i jeszcze większe zamknięcie.
Miałam dwa wyjścia.
Albo dalej się dołować, albo coś z tym zrobić. Znaleźć w tej beznadziejnej i trudnej sytuacji chociaż światełko w tunelu, lekarstwo na moje rany.
Jak zwykle okazało się nim aktorstwo.
Mój wymarzony zawód, odkąd byłam dzieckiem.
Zaczęłam nagrywać poszczególne rozdziały z książek, między innymi z „Przeminęło z wiatrem” czy „Małych kobietek”; robiłam różne projekty z moimi przyjaciółmi na mój kanał na YouTube: o przyjaźni, kobiecości; przygotowywałam motywujące odcinki o spełnianiu marzeń, o tym, by się nie poddawać; czuwałam nad montażem nagranych jeszcze przed pandemią scen do drugiej części monodramu. Ta działalność aktorska online nie tylko stała się moim celem i nadała sens tej codzienności, ale także pozwoliła mi nie wytrącić się z rytmu prób. Sprawiała, że byłam głodna nieustannej pracy nad sobą i... z osoby, którą na początku ta sytuacja zwaliła z nóg, stałam się motywatorem dla moich znajomych i nieznajomych, podpatrujących moje działania na stronie na Facebooku.
Wreszcie wróciłam do siebie!
Jednak nie czyniło mnie to w pełni szczęśliwą. Ogromnie tęskniłam za bliskimi mi osobami, których nie mogłam zobaczyć przez kolejny miesiąc. Zaczęłam się trochę obawiać, czy te więzi z przyjaciółmi nie osłabną, czy oni też odczuwają mój brak, czy tak jak ja nie mogą się doczekać spotkania.
Starałam się pozostawać ze wszystkimi w nieustannym kontakcie, wykorzystując do

tego wszelkiego rodzaju komunikatory. Wiadomo, że rozmowa wideo nie zastąpi spotkania na żywo, ale samo zobaczenie ich wywoływało we mnie jednocześnie szczęście i wzruszenie. Mieliśmy swoje rytuały: kawy online czy imprezy online. Dzięki temu relacje z moimi najbliższymi przyjaciółmi nie tylko nie osłabły, ale i pogłębiły się.

Niestety nie ze wszystkimi.

Pandemia w brutalny sposób pokazała mi, na kogo zawsze mogę liczyć, kto będzie mnie wspierał bez względu na wszystko, kto naprawdę mnie ceni i chce mnie w swoim życiu. Okazało się, że osoby, których byłam tak pewna, zaczęły mnie po prostu bardziej lub mniej stopniowo ignorować. Eliminować ze swojego życia. Nie byłam im już potrzebna. Na początku walczyłam o tych ludzi, bardzo chciałam wierzyć, że wszystko da się naprawić, dawałam drugą, trzecią, trzydziestą trzecią szansę. Wszystko bez sensu. Słuchałam tylko kolejnych przeprosin i wymówek, z których nic nie wynikało. Czy prosiłam o tak wiele? Jeden telefon / wiadomość na tydzień to dużo?

Chyba nie, szczególnie gdy jest się z kimś blisko i uważa się go za przyjaciela.

Z tej traumy tak zwanych fake friends do dzisiaj nie mogę się pozbierać i do dzisiaj zbiera ona swoje żniwo.

Jestem wdzięczna za ludzi, którzy są przy mnie i ze mną zostali, co nie zmienia tego, jak bardzo zawiodłam się na tamtych. Nie zagoi to ran, które mi zadali, i tego nieustannie powracającego pytania w mojej głowie: „Dlaczego?”

Może niektórzy ludzie po prostu muszą odejść z naszego życia?

Na pewno było to dla mnie lekcją, szkoda tylko, że tak bolesną.

Paradoksalnie w momencie, w którym przekonałam się co do niektórych swoich relacji, otworzono nas.

Przyszło lato, a z nim namiastka normalności.

Wakacje.

Chyba na żadne wcześniej aż tak bardzo się nie cieszyłam.

Marzyłam o tym, by gdzieś pojechać, ale nic nie było pewne...

Udało się! Początkowo aż nie mogłam w to uwierzyć. Pierwsze wrażenia z tej podróży w trakcie pandemii nie były optymistyczne. Nie mogłam się przyzwyczaić do tego widoku masek wszędzie, do tego, że nie można było sobie nakładać samemu jedzenia, ale przede wszystkim do tego, że ludzie jakby zaczęli siebie unikać.

Powiedzenie „człowiek człowiekowi wilkiem” nabrało zupełnie innego znaczenia. Wyjechałam po to, by zapomnieć, zrelaksować się, cieszyć, odpocząć. Na początku jednak jedyne, co odczuwałam, to tę wzajemną niechęć i izolację. Siedząc w restauracji i popijając jakiś napój, z rozrzewnieniem wróciłam wspomnieniami do ubiegłorocznych wakacji, do wolności, której nikt chyba tak bardzo na co dzień nie doceniał. Swoją drogą, to zabawne i smutne zarazem, że potrafimy coś prawdziwie docenić dopiero, gdy zostanie to nam odebrane. Tak, „szlachetne zdrowie...”

Pierwsze dwa dni nie były takie, jakimi je sobie wyobrażałam, ale potem zobaczyłam, ile tak naprawdę zależy od mojego zachowania wobec innych i od tego, jakie myśli zaprzątają moją głowę. Zmiana nastawienia pozwoliła mi wycisnąć z wyjazdu to, co najlepsze, i choć nie można było tego porównać do podróży sprzed pandemii, moje serce przepełniała wdzięczność. Wróciłam z naładowanymi akumulatorami, wprost na próby do drugiej części mojego monodramu „Być jak Meryl”, którego premiera odbyła się we wrześniu. Każdego dnia budziłam się z bólem brzucha, czy znowu nas nie zamkną. Już raz przeżyłam odwołanie premiery z powodu obostrzeń i bardzo dużo mnie to kosztowało. Drugi raz nie chciałam przez to przechodzić.

Na szczęście się udało. Widok ludzi w масечkach na widowni był dla mnie obcy, dziwny. Zawsze staram się nawiązać kontakt z widzem, a teraz ktoś jakby przykleił między nami ścianę. Widzieliśmy się nawzajem, ale jakbyśmy nie mogli siebie dotknąć, poczuć, przeniknąć. Znow rozpocząć ten fascynujący dialog między aktorem i widzem, który trwa od teatru greckiego. Mimo tych mieszanych odczuć, stojąc na scenie, czułam się najszczęśliwszą osobą pod słońcem. Udało się! Znow ogarnął mnie przypływ energii i ekscytacji. Znow zaczęłam kontaktować się z domami kultury, w których grałam pierwszą część, by teraz zagrać tam drugą.

Spektakle poumawiane. Wszystko miało się zacząć w październiku. Dostałam zielone światło. Nie mogłam się doczekać.

I znowu jakby ktoś odciął mi prąd. Jakby los chciał mi powiedzieć: „Uważaj, o czym marzysz, bo może się NIE spełnić”. Kiedy został odwołany pierwszy spektakl, nie mogłam powstrzymać łez, ale stałam się trzymać, myśląc o tych, które mi pozostały. Z drżeniem rąk przeglądałam informacje w komórce. To czekanie i niepewność były nie do zniesienia.

Najpierw ograniczenie widowni, a potem całkowity KONIEC. Nie zostało mi nic. Wszystko odwołane. Kultura umarła, przestała istnieć i nie istnieje do dzisiaj. Nawet nikt nie zrobił jej nekrologu, nie pożegnał, nie zapłakał. Moje marzenia legły w gruzach. Nie tylko nie mogę wykonywać zawodu, który kocham, ale, co za tym idzie, nie mam pracy. Czy jestem na krawędzi?

Pytanie retoryczne, bo jestem od wielu miesięcy, jednak te ostatnie mnie dobiły.

Niemoc. Samotność. Strach. Niepewność. Brzmi znajomo?

Wiem, że nie tylko ja jestem w tej sytuacji, nie tylko mnie ona dotknęła, jednak co to zmienia?

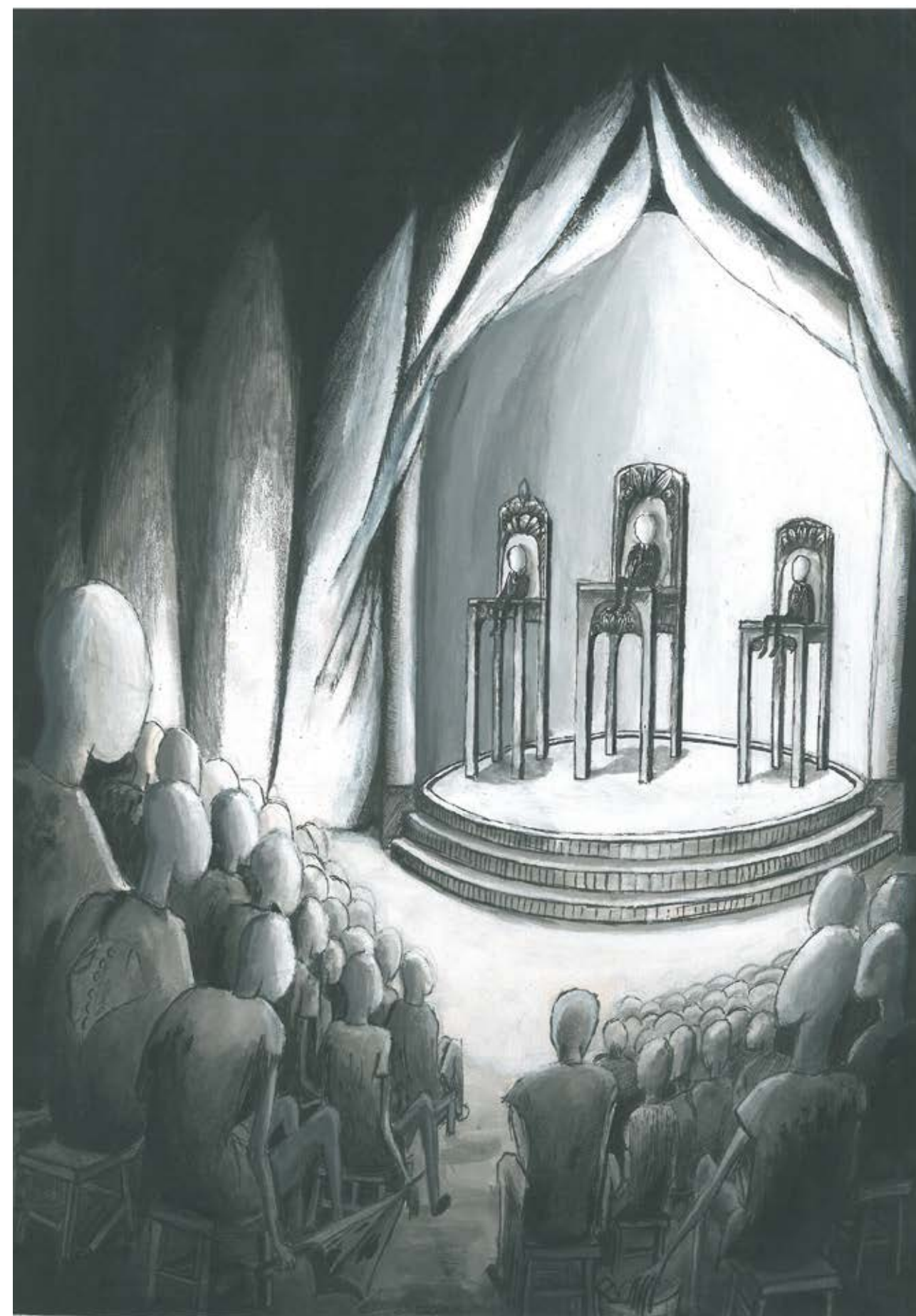
I znowu przyjaźnie na odległość, aktorstwo online i to bez przychodu.

Otępienie. Koszmar.

A miało być tak pięknie.

Miałam tyle planów. I co? Chyba największą pretensję mam do siebie o to, że znowu uwierzyłam, bo to w rezultacie ta wiara i marzenia postawiły mnie znowu na krawędzi własnego życia. Na granicy.

Na granicy... wytrzymałości.



Maciej Kierman „Na granicy systemu”

Dwa gołębie

Budzę się, podchodzę do okna. Spoglądam drobnymi oczami na świt. Nieruchoma przestrzeń. Wąska, brukowana droga, betonowe kamienice, a wśród nich altana śmietnikowa ze śnieżną pokrywą na dachu. Płatki śniegu jedyne załamują ten statyczny obrazek. Zawieszają się, kruszą, wstrząsają i opadają. Chaotyczny ruch drobin, lekkich, zwiewnych i rozpływających się w gęstwinie powietrza. Moja skóra już dawno nie czuła zimna. Nie pamięta wiatru, niosącego przenikliwy chłód, ani elektryzowania dreszczu przeciwstawiającego się oziębieniu.

Jestem sama w tym małym, trochę ciasnym pokoju. Zastanawiam się, czego mi brakuje. Z początku mgliste wrażenia nie pozwalają się wyodrębnić, uformować. Jakbym zapadła w zimowy sen. Ale kiedy tak sobie spoglądam przez okno, zaczynam dostrzegać, że moje ciało domaga się tchnienia. To tchnienie tli się istnieniem tychże płatków śniegu. Są piękne w tej swojej nietrwałości, tkwi w nich coś, co przypomina mi życie.

Moje myśli mkną, a ja cofam się do przeszłości. Zapytał, co chciałabym robić. Dzień był chłodny jak ten. Mogłam wtedy ponieść się fantazji, mogłam ujawnić mu swoje pragnienia. Po prostu rozmawialiśmy, a światła lampy rozgrzewały kawiarnię, stawały się ogniskiem naszego nienasyconego zachwyty. Jego oczy były zielone i przyciągały moją uwagę bardziej aniżeli aromat kawy, brzdęk monet czy szmer rozsuwanych krzeseł.

Dlaczego to wspomnienie do mnie wraca? Chyba dlatego, że tak dawno z nikim nie rozmawiałam w żywe oczy. Wtedy to było takie oczywiste, takie naturalne. Kontakt przywraca człowiekowi równowagę, daje zapomnieć o jego niekończącej się tułaczce. Wnętrze człowieka jest tak naprawdę rozchwiane. Wiecznie głodne jak wilk.

Widzę gołębia wlatującego nad śmietnik. A może gołębicę. Szaro-białe piórka. Rozpoczęte skrzydła trzepoczą. Siada na dachu i to rozgląda się, to unosi ponowie. Jest beztroski i wolny. Zauważa szczelinę pod daszkiem, po czym znika za połącią metalu.

Nie widzę już go, ale słyszę, jak grucha. Po chwili ten dźwięk ustaje. Lecz uśmiecham się. Wiem, że udało mu się. Dzisiaj się naje.

Niby to zwyczajny poranek, choć może ze zbyt niskim ciśnieniem atmosferycznym. Ale można powiedzieć, że dzień jak co dzień, bo za chwilę zacznie się zdalna praca, siedzenie przy biurku i to monotonne stukanie w przyciski klawiatury. Zawsze wtedy co raz ktoś zapyta:

– Czy ja rozmawiam do komputera? Halo? Czy ktoś tu jeszcze jest?

Odpowiadam wtedy, że jestem, albo jeśli nie ja, to ktoś inny.

Tak, jestem. Choć można mnie nie zauważyć, jeśli nie odezwę się przez mikrofon. Trwam jak ta gołębnica. Dzięki niej uświadamiam sobie, że życie tu i teraz przestało być ucieleśnione. Bo ciało stało się nagle kruche. Takie bezbronne i nieostrożne.

To być lub nie być nie jest już pytaniem, a odpowiedzią.

Ale jak czuje się człowiek bez odpowiedzi? Jest włóczęgą na bezdrożu. Chmura po burzy milczy, a on słyszy jedynie górskie potoki. Jednak wilgotne skały nie pozwalają mu się wspinać, nie dają się okiełznać. Tutaj, u dołu, wśród roślinnego gąszczu, niewiele można dostrzec. Jedynie powiew wiatru zarysowuje drogę. Więc włóczęga łapie się tego wiatru, który jest taki nieuchwytny.

Nagle jakiś niepozorny obiekt przykuwa moją uwagę. Prosty, ciemny kształt na tle jasnego nieba. Wyraźne kontury, jakby narysowane węglem, i to nie byle jak, raczej wprawną ręką malarza, bez odrywania, bez niedociągnięć i zniekształceń. Te piękne, gładkie linie ukazują coś, co wzbudza we mnie przerażenie.

Uzmysławiam sobie, że to śmierć. Zadaję sobie pytanie, kiedy do tego doszło, dlaczego on, a nie ten drugi? Jesteśmy tylko obserwatorami i przyglądamy się wszystkiemu przez maskę obojętności. Przynajmniej staramy się. Ale teraz ten mały, niepozorny szczegół, ten ciemny kształt zdziera zasłonę z moich uśpionych oczu, wylewa wiadro zimnej wody tak niespodziewanie i dobitnie, że wstrząsa mną dreszcz. Jestem pełna smutku, a oparcie moich stóp nie jest już twarde, a grzaskie od balastu.

Drugi gołąb był martwy. Wyglądał jak posąg, stopy przymarzniete do metalicznej pokrywy lampy elektrycznej, głowa i dziób zwrócone w zabudowany horyzont, poprzecinany sterującymi konarami drzew. Ten biedny gołąb po prostu zamarzł na latarni. Warstwa śniegu na dobre przykryła go, szarość jego upierzenia kontrastowała z bielą śniegu.

Porządek świata niejako legł w gruzach, teraz uwaga wszystkich zwracała się ku jednemu obrazowi – ludzi zarażonych koronawirusem. Jedni walczyli i wychodzili cało z choroby, a inni po prostu leżeli i konali. I wszystko niejako, cała ta sceneria była przesiąknięta mgłą zbliżającą się śmierci. Ta unosiła się nad pędzącymi karetkami, opadała na puste ulice i z pewnością spowijała także przepełnione szpitale.

Martwy ptak będzie mi towarzyszył, będzie o wszystkim przypominał aż do odwilży.

Ciągle tkwię przy oknie jak zaklęta. Tak bardzo zmienił się widok z okna mojego mieszkania, z trzeciego piętra. Zawsze wiele mogłam spostrzec z góry. Wcześniej widziałam tych ludzi, moich sąsiadów, jednych znałam, a innych nie, wszyscy o określonej porze dnia wyłaniali się zza fasady budowli. Promienie słońca zalewały blaskiem ich twarze. Szli swobodnie, choć taszczyli ze sobą torby, jakby byli studentami, jakby wszyscy byli młodzi. Za tymi prężnymi krokami kryła się waleczność i chęć zmierzenia się z dniem – przeżycia go w pewien sposób,

może nie wyjątkowy, ale chociaż zadowalający.

Wcześniej, przed tym, zanim wydarzyła się pandemia, w każdy dzień i w każdą z noc z pobliskich knajp niosła się muzyka. Ludzie obsiadali stoliki, hałasowali, wygłupiali się. Każdy uliczna schadzka miała swoją historię i nawet gdy cichły wszelkie dźwięki i zapadał zmrok, wspomnienia danej chwili nie gasły, tylko snuły się jak ćmy, nalatywały zakamarki, trzepotały między stolikami, wpadały przez uchylone drzwi.

Teraz nie było niczego, była pustka. Chodniki miasta, stoliki i krzesła wszelkich lokali usnuła cisza i czas samotności.

Gdy tak stoję przed tym oknem, zewsząd otacza mnie bezruch. W głowie non stop słyszę: „nie wychodź, nie wychylaj się, nie uciekaj”. Tkwię za pleksiglasową szybą, zakamuflowana niczym z wizji futurystów. To uchroni moje kruche ciało, będę zdrowa jak nigdy dotąd. Nawet nie wyobrażam sobie, że w tej chwili mogłoby być inaczej, że mogłabym działać, robić to, co powinnam robić, pędząc przy tym niczym burza. Z werwą, ochotą, energią. Nie robię tego.

Ta bezczynność i cisza zamieniły mnie w lalkę, kukielkę czy też strach na wróble. Teraz naprawdę czuję, jakby wszystkie ptaki z okolicy usiadły mi na piersiach i uderzały swymi dziobami oraz nastroszonymi piórami po to, abym nakarmiła je lękiem, smutkiem i pustką.

Każdego dnia siedzę w tym mieszkaniu, czekając na wieści o zmianie. Nie było dotąd żadnych rozstrzygających wieści, tylko za oknem zmieniał się krajobraz, zmieniały się barwy: z zieleni, światła i błękitu poprzez brąz i czerwień, aż zrobiło się zimno, aż popielatość starła się z bielą, niczym gra światła i cienia.

Wszechobecna zima panuje nad okolicą. Z nieba spadają niezliczone płatki śniegu, jedne przeistaczają się w niebyt, inne się grupują, łączą, multiplikują. Ta biel przesłania budowle, usypia miasta, pochłania wszelkie kolory.

W tym krajobrazie jest spokój, cisza. Oczekiwanie na zmiany przepaja aura misterium. Każdy popielaty skrawek przestrzeni domaga się, by go odmienić, aby go uzdrowić. Z początku drżąca i wzburzona, wyciszam się, uspokajam.

Otwieram okno. Zimno wdziera się do środka, ale nie odczuwam chłodu. Wciąż mam nadzieję, że ten zastój wreszcie nas uwolni. Włóczęga podąży w górę rzeki, ludzie poczuć się wolni jak ptak, a wiosna odrodzi nie tyle przyrodę, co nas, dzięki czemu wybrniemy z pandemii.

Dzień dopiero się zaczyna, niebo rozświecila migotanie płatków śniegu. W moim pokoju jest ciemno, ale nie zapalam światła. Odchodzę od okna, ruszam do wyjścia. Na zewnątrz chwytam rękami płatki śniegu. Czuję wilgoć i lód. Wpatruję się w ich kształty, linie, strukturę. Aż płatki znikają, a wtedy moje rozgrzane dłonie omywa wilgoć.

Na granicy

Przyszedł taki czas, kiedy każdego dnia chcę śpiewać utwór Czesława Niemena „Dziwny jest ten świat”. Tekst wszystkim dobrze znany i jakże wciąż aktualny. Utwór powstał w 1967 roku, miałam wówczas dwa lata. Mistrzowsko trafny song. Pół wieku już mierzę się z wartościami, o których śpiewał „człowiek renesansu”.

Życie nigdy nie było, nie jest i nie będzie przewidywalne ani oczywiste. To wszyscy wiemy.

„Oczywista oczywistość” traci lub zyskuje na swojej głębi przez całe nasze życie. Sprawdzamy swoje granice wtedy, kiedy nas sprawdzają. Egzaminatorem są sprawy małe i te wielkie, globalne i te lokalne, inni ludzie, a w ostateczności my sami. Odpowiedni czas w życiu i nastawienie do niego weryfikuje otoczenie, weryfikuje przede wszystkim nas. Wnioski są zazwyczaj zaskakujące.

Nikt się nie spodziewał, czym zaskoczy cały świat rok 2020. Koronawirus SARS-CoV-2 wywołał pandemię COVID-19. Pojawiła się mała „czerwona plamka” gdzieś na mapie świata, która rozpowszechniła się w błyskawicznym tempie. Zjawisko wrogie i nieznane dla wszystkich. Niewidzialne i trudne do okiełznania na tyle, by się z nim zmierzyć. Nie da się kalkulacją czysto zbrojną, jak do tej pory często bywało, pokonać tego „przeciwnika”. Bezradność... Świat się zatrzymał. Ulice puste najbardziej przerażały swoim widokiem, aż zapiekły oczy. Gwar zamienił się w ciszę, aż zaboląły uszy. Drzwi się zamknęły tam, gdzie zawsze były otwarte. Cztery ściany stały się tak bliskie, że nieraz ma się ochotę uderzyć głową w mur. Myśli częściej zagęszczają się i ciemnieją jak chmury przed burzą. Człowiek człowiekowi przyjacielem lub wilkiem. TY i JA pośrodku. Znowu wystawieni na próbę. Granice zarysowały się jakby mocniej, nie tylko na mapie świata. Dały o sobie znać wyraźnie granice naszej wytrzymałości. Wcześniejsze problemy, które często krzyczały nam prosto w twarz: „To już koniec, nie udźwigniesz więcej, nie dasz rady...”, jakby zmaląły. Czy na pewno? Szybka konfrontacja... Zwyczajnie wybierasz jedno z dwojga złego i na wyborze bardziej się koncentrujesz. Skupiasz uwagę, jak się w tym odnaleźć, jak przeżyć. Wdzięczny za to, czego doświadczyłeś wcześniej, bo jesteś dzięki temu silniejszy i mądrzejszy, mimo wszystko. Zaczynasz bardziej dostrzegać i doceniać to, co masz. Odkrywasz swój potencjał zaradności. Dostrzegasz, bez ilu rzeczy możesz funkcjonować. Przeliczasz i ograniczasz częściej budżet nadszarpnięty globalną sytuacją. Wzrasta twoja świadomość konsumpcyjna. Uczysz się wielu rzeczy i na nowo odkrywasz, co ci jest bliskie, a co obce, o co warto zabiegać, a co odpuścić. Chcąc nie chcąc, poszerzasz granice



Katarzyna Perkowska „Na granicy siebie”

tego, co było wcześniej niemożliwe. Pełna mobilizacja. Ogarniasz, jak możesz i umiesz, swój „kawałek podłogi”. Jednak powoli daje o sobie znać nie że zapomniany, ale na pewno wyparty przez nas na siłę pewien „chaos”. Dalej go nie pojmujesz. Nie jesteś w stanie przewidzieć, gdzie teraz jest i co dalej z nim będzie... Przypominasz sobie, że już tkwisz po uszy w jednym z najgroźniejszych sidła tego świata. One mogą dopaść każdego, bez względu na wiek, kolor skóry, wyznanie, poglądy polityczne, sposób życia i stan posiadania. Mapą świata staje się twój organizm. W lipcu 2019 roku pojawiła się na niej podobna „czerwona plamka”, która strzeliła batem po plecach. Ona zdominowała twoje życie, zdominowała twój czas, myśli, sparaliżowała. Wystawiła na próbę. Wypchnęła na chłama w nieznaną drogę. Znasz już ten ból, strach, lęk, odrzucenie, osamotnienie i przerażenie. Znasz już bardziej siebie. Wiesz już, że póki żyjesz, nie tracisz nadziei i żyjesz całą gębą. Mobilizujesz się. Nakreślasz nową mapę. Mapę marzeń, niespełnionych pragnień, odkopanych talentów i tworzysz swoją bazę. To z niej pozyskujesz niebywałą siłę. Nie masz wyjścia, stawiasz na siebie i swoją siłę. Chcesz wygrać każdą bitwę, by wygrać wojnę. Nie chcesz remisów. Zwycięzca jest jeden. Robisz wszystko, by kopnąć raka w tyłek, odepchnąć depresję czyhającą tuż za rogiem. Wytrzymałość ma swoje granice.

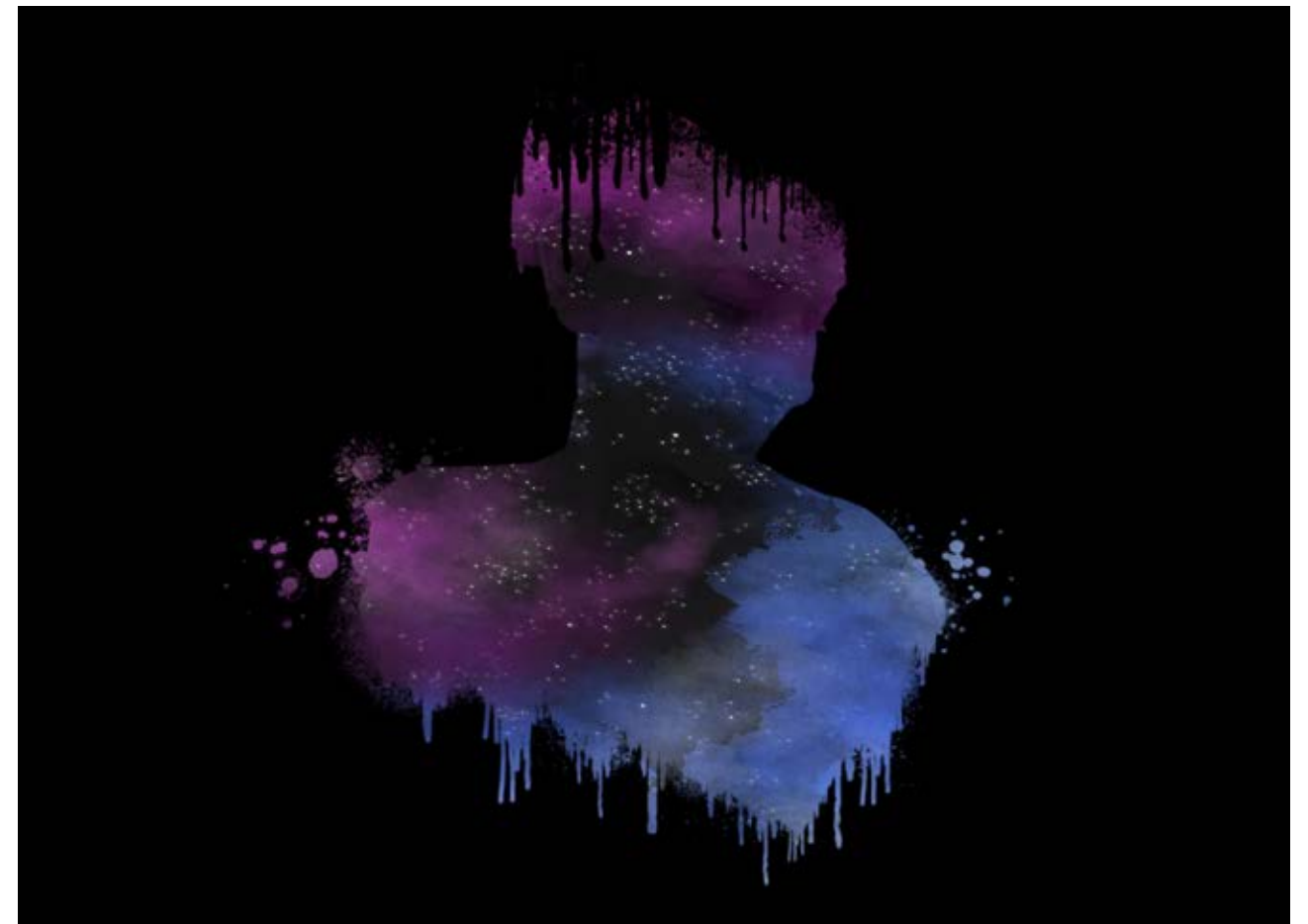
Nowotwór a wirus SARS-CoV-2 – jeśli miałbyś wybór, co byś wybrał? Na co jesteś bardziej przygotowany? Którego nieproszonego gościa potraktowałbyś łagodniej w swoim życiu?

I tu niech zadziała twoja wyobraźnia, jeśli nie jesteś w podobnej sytuacji jak ja. Milion ludzi w Polsce, a na całym świecie osiemnaście milionów, nie ma nic do gadania. Tylu z nas choruje na raka w tym samym czasie, kiedy pandemia staje się głównym tematem newsów. Na całym świecie umiera rocznie około dziesięciu milionów ludzi z powodu cancerogennych chorób. Nie wiadomo tak naprawdę, ile osób zmarło do tej pory z powodu wirusa pandemii. Statystyki wzbudzają przerażenie. Co jednak bardziej ciebie przeraża? Nie pytasz o to, gdy jesteś na rozdrożu. Każdego dnia z tym się mierzysz. Każdego dnia mierzysz się przede wszystkim ze sobą. Szukasz wyjścia. Jeśli tylko masz w sobie chęć życia, nie odpuścisz. Życie jest jak woda, znajdzie nawet najmniejszą możliwość ujścia. Twoje złote myśli na bycie tu i teraz bardzo się przydają. Pielęgnujesz w sobie „zielone części” usposobienia, one są zawsze gotowe na nowe życie. Chociaż wokół kłębią się czarne wiadomości i myśli, ty wciąż masz parcie na życie. Już wiesz z doświadczenia, że sam masz mniejsze szanse. Napinasz więc kręgosłup, pochylasz bardziej kark, głowę bardziej podnosisz, wytężasz wzrok i słuch, by dostrzec dla siebie ratunek. Tym razem już nie ma odwrotu. Na jednej szali kładziesz swoje życie. Jeszcze intensywniej myślisz i szukasz sposobu, jak wyjść z tego impasu. Odkrywasz, że tam, gdzie było najciemniej, ktoś zapala ci światło, byś odnalazł swoją drogę. Ci, na których wydaje się, że mogłeś najmniej liczyć, dodają ci skrzydeł. Masz jednak często o sobie mniemanie, że jesteś taki słaby, taki malutki w tym chorym świecie. Nic bardziej mylnego. Skoro masz w sobie apetyt na życie,

to dajesz radę. To masz w sobie ogromną siłę. Dźwigasz teraz jeszcze więcej, a jednak wciąż dajesz radę. Poddajesz się narzuconym warunkom ochrony. Narzucona z góry izolacja może być dla ciebie więzieniem lub wybawieniem. To zależy naprawdę od ciebie. Przekop wszystko, co masz w swojej głowie. Znajdź na siebie sposób. To może być twoje jedyne wyjście. Wyważ wewnętrzne blokady. Użyj wszystkich kluczy. Jest tylko jeden warunek: nie poddawaj się – nigdy!!! O twoich słabościach, wielkości strachu i o twojej sile wie chyba tylko jeden Bóg. Stoisz na krawędzi, na granicy każdego dnia. Od ciebie zależy, czy znajdziesz – jak ta woda – ujście, czy pozwolisz na to, by za życia wyschnąć i nawet śladu nie zostawić po sobie.

Życie jest bezgraniczne i na tym koniec. „Czerwona plamka” na mapie życia to twoje i moje serce, ono wciąż bije, skoro żyjesz. Piszę o tym krótko, obraz może powie więcej niż tysiące słów, które i tak nie oddadzą tego, co teraz czuję.

30 grudnia 2020 to dzień, w którym to piszę. Rano widzieliśmy na niebie tęczę. To symbol dobrej energii, jedności świata materialnego i duchowego, to symbol harmonii i pokoju. To dobry omen.



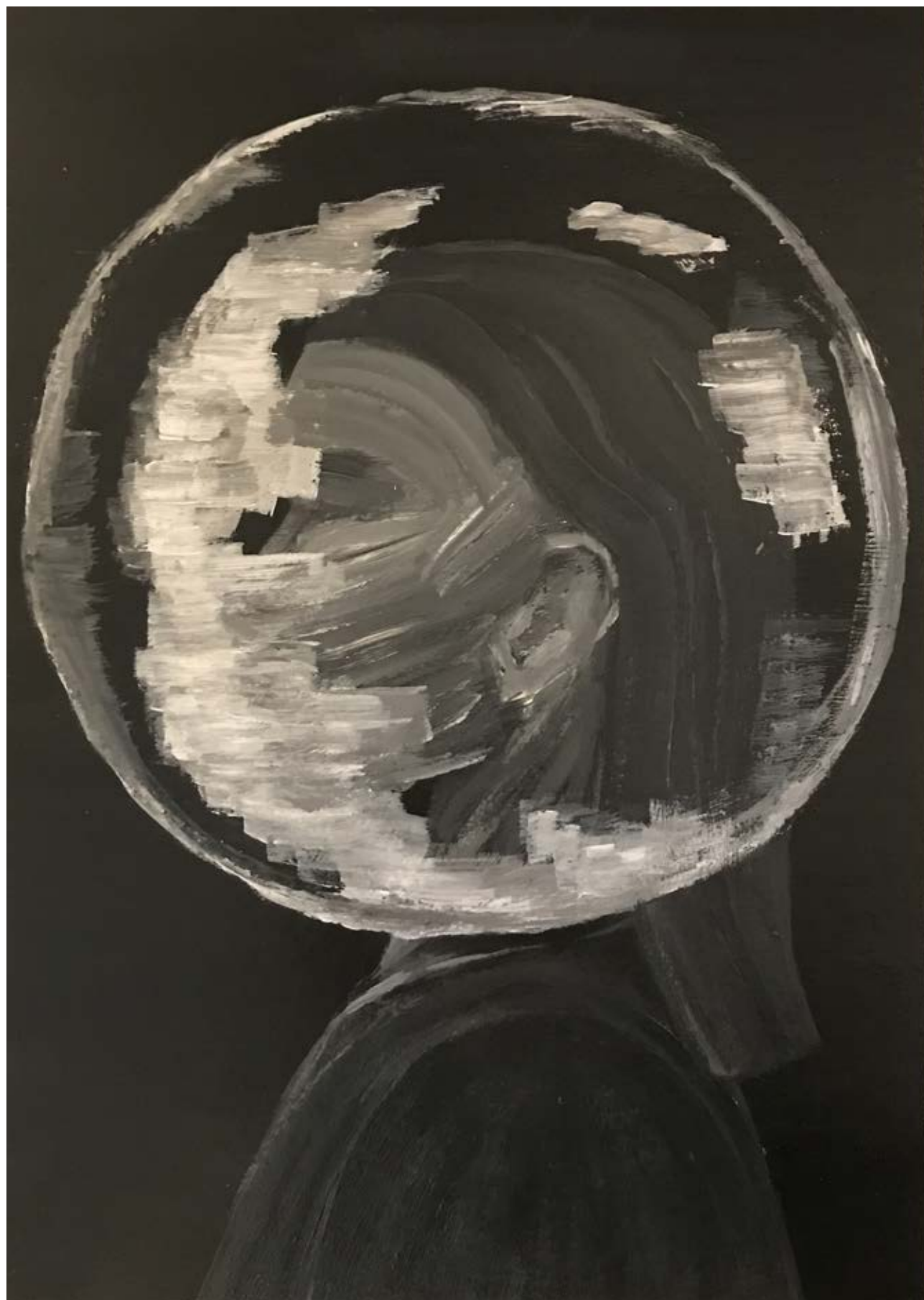
Paulina Peliksza „Rejwach”

Na skraju człowieczeństwa

Ostatnie miesiące zmieniły nas na zawsze. Przewróciły do góry nogami nasz system wartości, pogrzebały nasze plany i wyśmiały wszelkie nadzieje. Jeszcze rok temu żyliśmy w niezbitym przekonaniu o własnej nietykalności. Byliśmy Prometeuszami. Horacjami, wychowanymi pod drzewem życia. Czy nie tak się czuliśmy? Biegaliśmy na spotkania biznesowe, przepychając się między obcymi ciałami w autobusach. Wdychaliśmy szkodliwy smog do zmęczonych płuc, a wieczorami częstowaliśmy nim przypadkowych nieznajomych, całując aż do utraty tchu. Jakby jutra miało nie być. Aż pewnego marcowego popołudnia nasz wirujący i nieposkromiony świat zatrzymał się. I zupełnie jak wieki temu popiół wydostający się z Wezuwiusza przysypał Pompeje, tak na początku 2020 roku wszechobecny wirus sprawił, że to nasze ciała zastygły w bezruchu. Od tego momentu jesteśmy jedynie rzeźbami, namiastkami tego, kim byliśmy kiedyś.

Pierwszym uczuciem, które nas opanowało tamtego marcowego wieczora, była panika. Surowa i dotkliwa niczym mroźne powietrze. Rozprzestrzeniała się wśród nas szybciej niż wirus, którego tak bardzo się obawialiśmy. Nie zatrzymały jej jednak ani maseczki, ani gumowe rękawiczki. Nie zneutralizował jej także płyn dezynfekujący ani gładkie słowa płynące z wieczornego wydania wiadomości. Ze sklepowych półek w kilka godzin zniknęły artykuły pierwszej potrzeby, a wraz z nimi zapodziały się gdzieś nasze plany i cele. Nie mieliśmy wpływu na wirusa i naszą najbliższą przyszłość, ale nadal niezmiennie zmagaliśmy się z usilną potrzebą kontroli. Kupowaliśmy więc ryże, konserwy czy papier toaletowy, próbując zapewnić sobie jakiegokolwiek poczucie bezpieczeństwa. Nie wiedzieliśmy wtedy, że w ten sposób jedynie rozprzestrzeniamy histerię. Nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia z wersjami siebie, które zostały powołane do życia tamtego dnia. Gdybyśmy tylko zatrzymali się na chwilę, w odbiciu lustra zobaczylibyśmy oczy pełne lęku, a w szybach witryn sklepowych – przemykające bezgłośnie sylwetki, spieszące do czterech ścian pustych mieszkań.

Oprócz papieru toaletowego z półek zaczął znikać także alkohol. Widmo wielu dni spędzonych w samotności, strach i niepewność sprawiły, że coraz bardziej pragnęliśmy chociaż na chwilę zniknąć z tego świata. Nie mogliśmy wyjechać, ale szybko znaleźliśmy ten znacznie prostszy przecież sposób. I tak chociaż wydawało nam się, że radzimy sobie z tą sytuacją, jeszcze bardziej popadaliśmy w osamotnienie. W pustych kieliszkach widzieliśmy swoje oblicze, dlatego dbaliśmy, by były one zawsze napelnione. Nasza beznadziejna, coraz mniej ludzka twarz zniknęła gdzieś pomiędzy procentami a nieodebranymi połączeniami. Kolejne tygodnie



Weronika Sędziak „Granica samotności”

zamiast ustabilizować rzeczywistość, jedynie jeszcze bardziej ją rozchwiały. Czuliśmy się jak dzieci na pędzącej karuzeli. Szukaliśmy w tłumie twarzy kogoś lub czegoś, co zatrzyma ten diabelski młyn, ale widzieliśmy tylko anonimowe kształty, przyrodziane w масечки.

Już w ciągu kilkunastu godzin słowa polityków stały się rzeczywistością. Wypłynęły z naszych odbiorników radiowych i przeciekły przez ekrany telewizorów, plamiąc nasze dywany i niszcząc panele podłogowe. Mężczyźni ubrani w eleganckie garnitury, szykowne krawaty i масечки chirurgiczne, maskując drżenie głosu, wyczytali zasady naszego nowego życia. Kolejne dni były dla mnie, i zapewne dla wielu innych, jedynie serią obrazów. Łóżko, laptop, telefon, wpatrywanie się w puste ulice za oknem, opróżnione kubki po kawie, telefon, piętrzące się stosy papierów obok stolika, laptop, ostatnie spojrzenie na telefon i sen. Następnego dnia to samo. I kolejnego. A potem znów, ale w nieco innej kolejności. Pierwsze tygodnie były trudne. W mojej pamięci zlewają się w jeden długi, męczący dzień. Dzień wypełniony jarzącymi się ekranami i rozmowami online, przerywanymi przeciążeniami sieci. Wciąż te same, coraz bardziej nudne rytuały i obowiązki. Ale najbardziej męczyło mnie to zawieszenie w czasie. Czulałam się jak w Matriksie. Ciche dni i jeszcze cichsze noce. Wariowałam. Wszyscy wariowaliśmy. We własnych, niegdyś bezpiecznych mieszkaniach dawaliśmy się owładnąć szaleństwem. Okna w naszych pokojach zostały zamurwane strachem, a drzwi – zaryglowane niepewnością.

Nie da się nie zauważyć, jak bardzo w tym czasie przekształciliśmy własne domy w biura i restauracje. W ciągu zaledwie kilku dni zamieniliśmy spódnice i garnitury na piżamy, a buty na obcasie wylądowały w kącie korytarzy, tuż za wyjściowymi płaszczami. Stoły obiadowe zasypane dokumentami, pomazane rozpędzonymi długopisami. Posiłki zjedzone w pośpiechu, często zastępowane kostkami czekolady albo chipsami. I chociaż wirus stworzył wokół nas iluzję wolnego czasu, pozbawionego korków, kolejek i kolejnych kilku minut oczekiwania na autobus, to jesteśmy jedynie jeszcze bardziej zapracowani niż przedtem. Zamykaliśmy szczelnie drzwi i okna w obawie, że koronawirus wdrze się przez nie do naszych mieszkań. Jednak to nie on, ale praca cichutko, powoli przedostawała się z zewnątrz do czterech ścian. A my na to pozwoliliśmy. Przywitaliśmy ją ciepło, niemal radośnie, bo pozwalała zapomnieć o tym, czego się baliśmy. Znów byliśmy jak dzieci zapalające nocne lampki w strachu przed potworami z szafy. My otaczaliśmy się świecącymi ekranami komputerów. Zamiast bajek wypełnialiśmy głowy cyframi, raportami i sprawozdaniami. Wszystko po to, żeby zagłuszyć strach. Lęk, który osiadał nam na ubraniach, włosach i meblach.

I chociaż trudno w to uwierzyć, z biegiem czasu przeszliśmy do porządku dziennego nad unoszącym się ponad nami widmem zarazy. Każda kolejna dobową liczba zakażeń nieco mniej nas przerażała. Każdy tydzień zmniejszał trochę napięcie twarzy na widok przepełnionych szpitali. Miesiące mijały, a wraz z nimi nasz strach. Wychodziliśmy coraz częściej, z coraz to bardziej błahych powodów. Liczba chorych rosła i już wkrótce niemal każdy z nas potrafił

wskazać w swoim otoczeniu przynajmniej jedną zakażoną osobę. Niestety, pragnienie powrotu do czasu sprzed pandemii okazało się silniejsze niż strach przed nią. Przez chwilę ponownie byliśmy starymi wersjami siebie. Planowaliśmy podróże i przyjęcia. Pożegnaliśmy wirusa, ale tylko w naszych głowach. Bo w życiu wciąż kroczyło za nami jego widmo. Tak właśnie, niedługo po powierzchownym opanowaniu sytuacji, powrocie do pracy, szkoły i na uczelnie, znów przyszło nam zamknąć za sobą drzwi mieszkań. Po raz drugi i być może jeszcze szczelniej niż poprzednio.

Od tamtej pory trwamy w bezruchu. I chociaż wydaje się, że przez ostatnie miesiące spowolniliśmy, to jednak przyspieszyliśmy niektóre procesy rozpoczęte już dekady temu. Laptopy nie wędrują dalej niż z kuchni do sypialni, zawsze u boku. Stają się naszymi najbliższymi przyjaciółmi, dzieląc się z nami ciepłem i cichym szeptem włączonego procesora. Słuchają naszego zirytowanego głosu, przyjmują nasze myśli w formie cyfrowego kodu. Wielu z nas dopiero teraz uświadomiło sobie, że sieć nie łączy nas jedynie z innymi użytkownikami, ale także wyjątkowo mocno przywiązuje nas do urządzeń elektronicznych. Wyjątkowo często łapiemy się na tym, że przyjemność sprawia nam proste przesuwanie palcem po gładkim ekranie. Stało się to tak intuicyjne, że gdy tylko się nudzimy, sięgamy do kieszeni. Już od dawna zastępujemy rodzinę, przyjaciół czy pasje smartfonami. Ale dopiero od kilku miesięcy czujemy się usprawiedliwieni takimi działaniami. Przecież nie mogę iść do galerii sztuki. Co szkodzi, że akurat obejrzę wszystko w telefonie? Kina, kawiarnie, hotele też nie są dostępne, więc przecież muszę kontaktować się ze znajomymi przez Messengera, „podróżować” przez Instagrama, a filmy oglądać dzięki YouTube. No właśnie. Czy rzeczywiście muszę?

Do dziś nie wiem, czy większym strachem napełniał nas sam wirus, czy to, jak kształtował świat wokół nas. Utrata pracy, brak dostępu do opieki medycznej i kryzys gospodarczy otaczały nas bez względu na масечки i dystans społeczny. Widmo bezrobocia zmuszało nas do jeszcze większych poświęceń i wyrzeczeń. Zarwane noce, kolejne stosy dokumentów tuż obok łóżka i puste puszki po energetykach w koszu na śmieci. Przegapione telefony od mamy, przełożone spotkania, ze znajomymi i niekończące się zmęczenie. Wyczerpanie, którego nie łagodzi sen. Wszystko po to, aby utrzymać pracę. Wiadomości w telewizji, artykuły w gazetach, a w słuchawce kolejna wypłakująca się przyjaciółka, panikująca po stracie pracy. Pocieszasz ją, mówiąc tak naprawdę także do siebie. W ten sposób próbujesz pokonać strach przed bezrobociem, utratą domu czy samochodu.

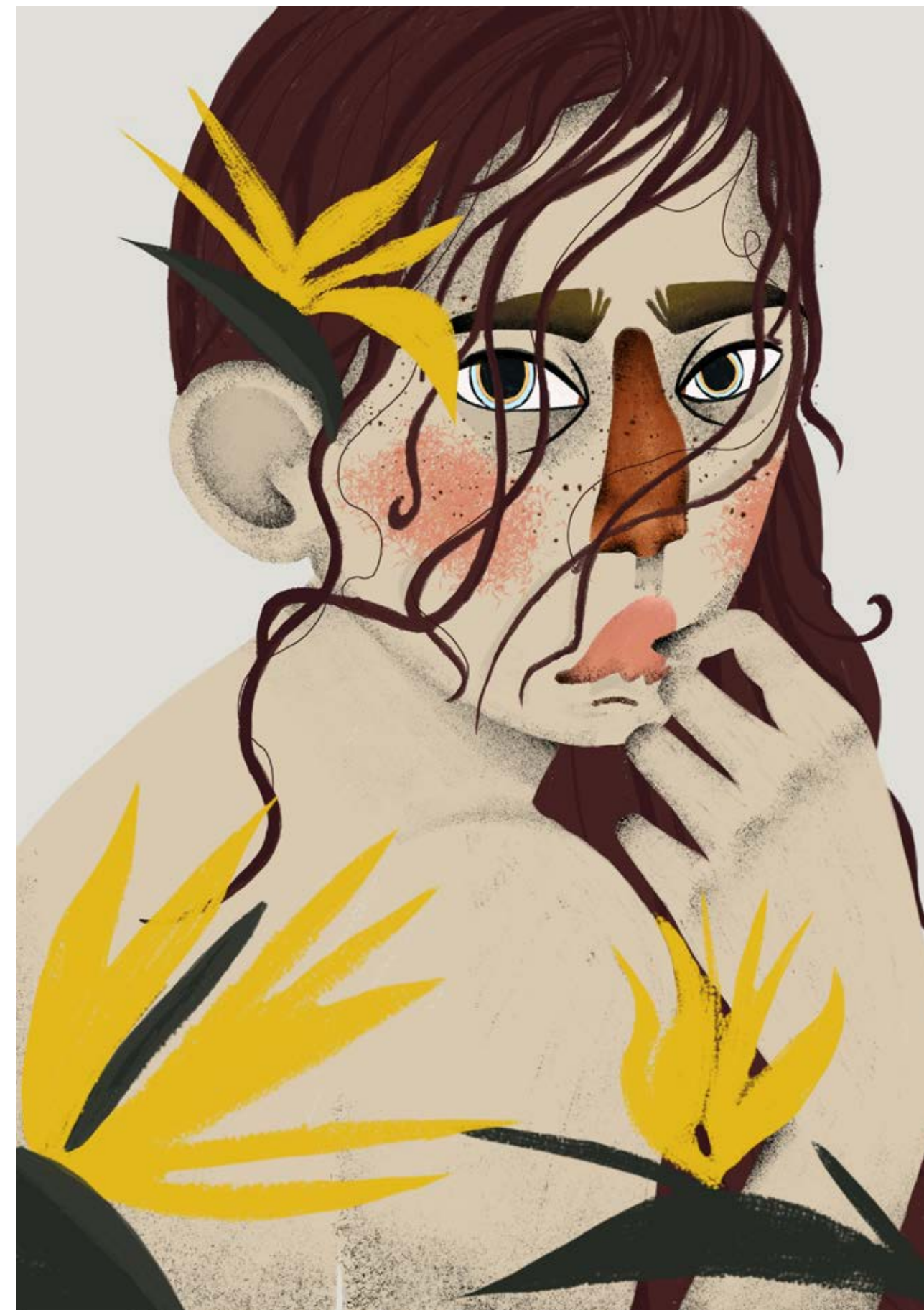
Cieężko więc na pewno będzie ci uwierzyć, że istnieją ludzie, którzy borykają się z jeszcze większym bagażem problemów. Są nimi ci, którzy nawet we własnej głowie nie czują się jak w domu. Osoby z zaburzeniami lękowymi, zmagający się z depresją i nerwicą. Wiem to, bo jestem jedną z nich. Dla takich jak my wyjście po bułki do piekarni stało się przez pandemię wspinaczką na Mount Everest. Co najmniej godzinne przygotowanie: obranie w głowie najkrótszej, najmniej uczęszczanej trasy, poprawne założenie масечки, rękawiczek, płyn de-

zynfekujący w torebce, ostatnie głębokie wdechy i otworzenie drzwi. A badania wskazują, że pandemia koronawirusa zwiększyła liczbę takich osób. Znacznie większa część społeczeństwa cierpi na zaburzenia depresyjne i lękowe czy zaburzenia snu. Szacuje się, że o nawet kilkadziesiąt procent wzrosło zapotrzebowanie na konsultacje psychiatryczne i psychologiczne. Badacze już teraz zauważają w naszym zachowaniu objawy PTSD, czyli zespołu stresu pourazowego. Dokładnie na to samo zaburzenie cierpią ofiary kataklizmów, wojen, wypadków, a także ofiary gwałtów, uprowadzeń czy tortur. Jest to pewnego rodzaju mechanizm obronny organizmu przed tym, z czym poradzić sobie nie jest w stanie. Koronawirus jest więc idealnym żołnierzem. Oprócz ataku na nasze ciała, dokonuje też inwazji na to, kim jesteśmy wewnątrz.

Wydaje mi się jednak, że niesprawiedliwym byłoby niedostrzeganie pozytywnych zmian, będących efektem pandemii. Dopiero dziś widzę, jak bardzo nie docenialiśmy bliskości innych. Nawet takich prozaicznych, podstawowych oznak i aktów, świadczących jednak nieprzerwanie o tym, że jesteśmy ludźmi. Przypadkowe muśnięcia dłoni w sklepie. Nieśmiałe uśmiechy wędrujące aż do źrenic na drugim końcu autobusu. Klepnięcia po ramieniu i objęcia w epizodycznym tańcu. Uściski na przywitanie i pocałunki w policzek tuż przed rozstaniem. Dziś te niegdyś codzienne gesty zaplątały się gdzieś między sklepowymi półkami a pustymi siedzeniami autobusu. Nie ma ich już między nami, chociaż do tej pory nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z ich obecności. Zamieniliśmy je na błyszczące w środku nocy ekrany i spojrzenia rzucane ukradkiem na ulicy. Nie są one jednak oznaką zainteresowania, ale strachu. Czy w żyłach tego mężczyzny płyną cząstki śmiertelnościanego wirusa? No i czy kaszel tej kobiety to po prostu oznaka przeziębienia, czy może czegoś więcej?

Pandemia nas zmieniła. To pewne. W mniejszym lub większym stopniu zredefiniowała nasze życie. Ukształtowała nas między innymi dlatego, że stawić jej czoła musiał każdy. Wszyscy, a jednak każdy z osobna. Grupą, lecz samotnie, we własnych czterech ścianach. Dziś cieszy nas nawet najmniejszy kontakt z drugim człowiekiem. Wideorozmowa ze znajomą, telefon od babci, zmarszczki tuż obok oka nieznajomego, świadczące o uśmiechu w twoją stronę. Prozaiczne gesty, dzięki którym mimo że ciała są metry od siebie, to dusze zaczynają się ze sobą stykać. Bez maseczek, bez szyb, bez płynu dezynfekującego. Nagie, odsłonięte, ludzkie oblicza.

Dziś, po roku zmagania z wirusem, jesteśmy innymi ludźmi. Koronawirus popchnął nas na krawędź natury ludzkiej. Cokolwiek przez to rozumiemy. Stanęliśmy też na krawędzi samych siebie. Spoglądając w przepaść, widzimy już jedynie sylwetki osób, którymi kiedyś byliśmy. Dzięki pandemii nauczyliśmy się doceniać bliskich, nawet jeśli widocznych jedynie na ekranie. Uzmysłowiliśmy sobie jak ważne są bezpieczne cztery ściany, stabilna praca i spokój, zwłaszcza ten psychiczny. Usilnie więc wierzę, że to, co miało nas zniszczyć, tak naprawdę dało nam niezwykle surową i bolesną lekcję człowieczeństwa.



Agnieszka Pacewicz „Emocje”

Pandemioza. Nasze kolejne przedtem i potem

Konieczna rutyna odzywa się we mnie zaraz po ogłoszeniu stanu zawieszenia, jeszcze w marcu.

Początkowo wszyscy piszemy, donosimy o epidemii ze swojego placu boju, studiujemy statystyki, próbujemy wyczuć przyszłość. Najpierw zastanawiamy się, co będzie za tydzień, dwa, za miesiąc. Później wszyscy jakby rezygnują z odczuwania, bo pozwala to na zachowanie względnej równowagi.

Kultura nadmiaru

Od jakiegoś już czasu czuję, że żyjemy w kulturze nadmiaru. Próbuję sobie wymyślić nazwę, którą pokolenie po mnie nada tym czasom. Zastanawiam się, czy jestem rzeczywista, czy może siedzę w jakiejś studni, którą obmyślił dla nas Bóg albo Szatan.

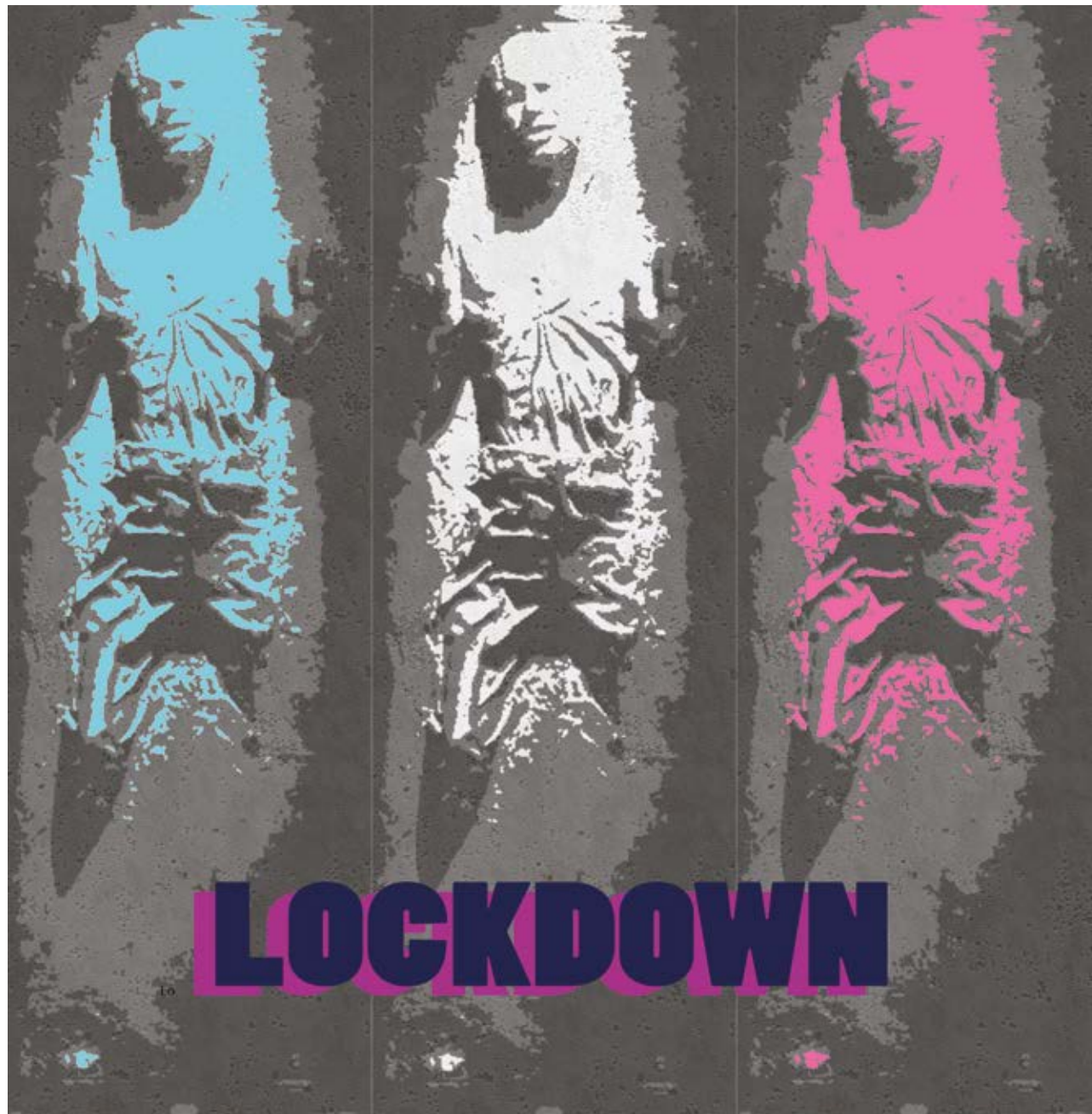
Widzę te nazwy: nowa normalność, czasy postpandemiczne, ale dla mnie nie ma niczego, co nas określi, bo tematu epidemii, a później pandemii jeszcze nie opanowaliśmy. Nareszcie mogę przejść w swój stan względnej hibernacji zawodowej. Pracuję, ale na zdalce, jak mówi młodzież. Otulam się snem polifazowym, w ciągu dnia w ryzach trzymam mnie rutyna. Ona zastępuje emocje. Poza tym mówię sobie, że mam tyle do zrobienia. Daje mi to poczucie bezpieczeństwa, nie pozwala wybić się z rytmu życia. Uczepiam się wiśni, od marca codziennie i metodologicznie obserwuję fazy życia mojego drzewa, które wzywa mnie Wyspiańskim zza okna.

To wraca

I znowu czuję się jak w bajce z roku 1981, przerywanej generalskim głosem sztywnego pana w przyciemnianych okularach w czarno-białym telewizorze. Na podwórku wylali ogromną połąć betonu, od stolarni aż do bramy. Dziadek dobrze pamiętał, jak było za Niemca, więc pod betonową pustynią trwało podziemne życie: składzik na ziemniaki, drugi na drewno – dwa naczynia połączone. Patrzyliśmy jak wypłoszone zwierzęta, czy zmieścimy się pomiędzy luftami, czy nauczymy się żyć pomiędzy kartoflami a spiżarką babci. I czy kotka może być tam ze mną, w tym schronie na stan wojenny.

Znowu mam dwanaście lat, wybucha Czarnobyl, poją nas płynem Lugola, słońce praży w twarz, nie trzeba iść do szkoły. Nie ma lekcji online, mamy siedzieć w domach i wypatrywać, czy pył na nas nie spada.

Teraz odbywa się kolejny egzamin pokoleniowy czy jak go tam zwać – ba, nawet międzypokoleniowy. Wszyscy to przeżywamy, nie ma od tego ucieczki. W mojej głowie odbywa



Filip Szczerba „Lockdown”

się chłodna kalkulacja. Zaczynam myśleć liczbami, ilością, ile mam zapasów, bo w Londynie brakuje mydła i papieru toaletowego, a w Antwerpii jest tylko w sklepach u Marokańczyków i u Żydów, jak donosi siostra. W kwietniu w moim wytęsknionym Londynie czterdzieści tysięcy wojska na ulicach, tak pisze znajoma. W Illinois nie można wychodzić z domu. Wojsko pilnuje sytuacji. Ciocia ze Stanów donosi, że gorąco, ale nie ma podstawowej rzeczy, bo wykupiona, a w sklepach nikt się nie patyczkuje ze starszymi.

Powtórka z rozrywki, czyli strajk komunikacji w Białym. Do liceum jeździłam rowerem, nie było problemu, ale kilka razy przejechałam się dla doznań społecznych wojskową ciężarówką. Zdawałam maturę podczas strajków nauczycieli. Egzamin dojrzałości przesunął się w czasie o tydzień, dwa? Na maturę w trzecim właściwym terminie przyszedłam spóźniona. Nie wierzyłam już wtedy, czy się odbędzie. I chyba łapałam dystans. Ta metoda sprawdza się i tym razem. W głowie czasami pojawiają się słowa zuchwałego Beaumarchaisa: „Śmiejmy się, kto wie, czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie”.

To kolejny sprawdzian dla służb, smutny i ciężki. Dwa lata temu matura z darknetem. Odbierałam arkusze o piątej rano, a panowie policjanci spędzili kilka nocy pod szkołą. Poświęcenie. Chichot losu. W sumie dzieciaki czasami mają dość tej komputerowej szkoły, komputeryzacji życia w ogóle. Za kilka lat będziemy sobie musieli radzić z tym stanem inercji zdalnej edukacji.

Przekazy

Pandemia zwalnia w nas tempo. Czuję też słabość człowieka, który wybierał się w kosmos, a teraz nie może nawet pożegnać się z tymi, którzy muszą odejść w szpitalu, w samotności sterylnej sali.

Myślę sobie swoją prostą filozofią, że raczej nabieramy innego tempa. Konieczność rutyny. Przyszła nowa epoka, którą na swój użytek nazwałam na samym początku za Keyesem Nową Prawdą, Białą Prawdą. Podają nam tylko tyle, ile trzeba, może nawet nie okłamują, trzymają nas na fali jakiegoś optymizmu, który już nie jest hurra, ale nie trzeba mówić wszystkiego, jak nieuleczalnie choremu. White lies, ale w zasadzie nawet ci na górze nie wiedzą, co nam oraz im zafunduje pandemia. To ma wszystkim zapewnić poczucie względnego bezpieczeństwa. Pytałam znajomą, która jest psychiatrą, jak wygląda świat koronawirusa w zakładach zamkniętych. I sama czuję się jak uspokojony pacjent, tak odbieram pandemię momentami, głównie ze względu na nierówny przekaz medialny lub brak przekazu. Przekaz, z którego ostatecznie zrezygnuję niemal zupełnie, żeby zachować równowagę i spokój myśli.

Tańce. Online

Częściej rozmawiam ze znajomymi, czasem jakieś piwo albo nawet tańce online. Częściej pytam, co u znajomych z innych krajów. W nocy odzywają się teraz częściej ci ludzie od pytań:

Czemu nie śpisz? Nie śpisz? Wyjdziemy gdzieś razem? Co masz teraz na sobie? Ponoć wzrosła sprzedaż świerszczyków na stacjach benzynowych, więc czuję, że ludzie są samotni.

Dzisiaj zawiozę komputer stacjonarny niepełnosprawnemu chłopcu. Pytam starszych sąsiadów, czy potrzebna im pomoc. Wielu ludzi pisze, że zagląda w stare kąty, zdobywamy też nowe umiejętności. Kiedyś krótko grałam na saksofonie. Szukam w necie instrumentu, który przypomina mi ludzki głos. Ludzki głos, jakim jest naprawdę. Bez szumu na kolejnej platformie. Robi się niebezpiecznie w takich momentach. Staram się nie myśleć o tym, że może zabraknąć prądu. Widzialne i niewidzialne ręce, wymiana potrzeb, jednak głównie opartych na fizycznych pragnieniach, woda, powietrze, jedzenie, ucieczka przed zarazą.

Zmienna stała

Przecież pozornie świat się nie zmienił, drzewa kwitną, owocują, gubią liście. Słońce wstaje na wschodzie, zachodzi na zachodzie. A jednak przyłapuję się na tym, że muszę sobie przypomnieć, jak rozpaść ognisko, jakie produkty są potrzebne na zapas.

Zapaść gospodarcza staje się faktem. Zapaść aksjomatów też. W aptece stojący przede mną mężczyzna każe mi się odsunąć dalej, a później jeszcze dalej. Strach nabiera nowego wymiaru. Nawet wystawa „Strach” w Arsenale mówi mi coś nowego o świecie. Nie odbijemy się od dna przez czas, którego nie można na razie określić, bo nie wiemy, ile czasu potrwa stan oblężenia przez wirus. Więc wracam do harcerskich umiejętności. Zasiałam różne warzywa i kielki, zbieram nasiona pomidorów. Czekam z namaszczeniem. Początkowo rozpatruję nawet zakup kur. Czytam, ile jajek dziennie może znieść kura. I czy koza jest w stanie pogodzić się z psem na niewielkiej przestrzeni. Znalazłam kilka krzemieni. Nie mogę liczyć na jaskinię na Podlasiu. Sprawdzałam ceny domów w Grecji, tam nie trzeba płacić za ogrzewanie. W lesie instynktownie wącham, gdzie jest drewno.

Brak emocji. Działam rutynowo, to mnie trzyma w pionie. Wracam do wszystkich książek o zarazach. Poznaje „Fałszywą wagę” Rotha i myślę, że to wszystko już grali, a my nie będziemy pierwsi ani ostatni. I czy to jest jakiś boski plan, na przypomnienie o rzeczach prostych, fundamentalnych, o wodzie, powietrzu i drugim człowieku, o radości, która musi w nas jeszcze być.

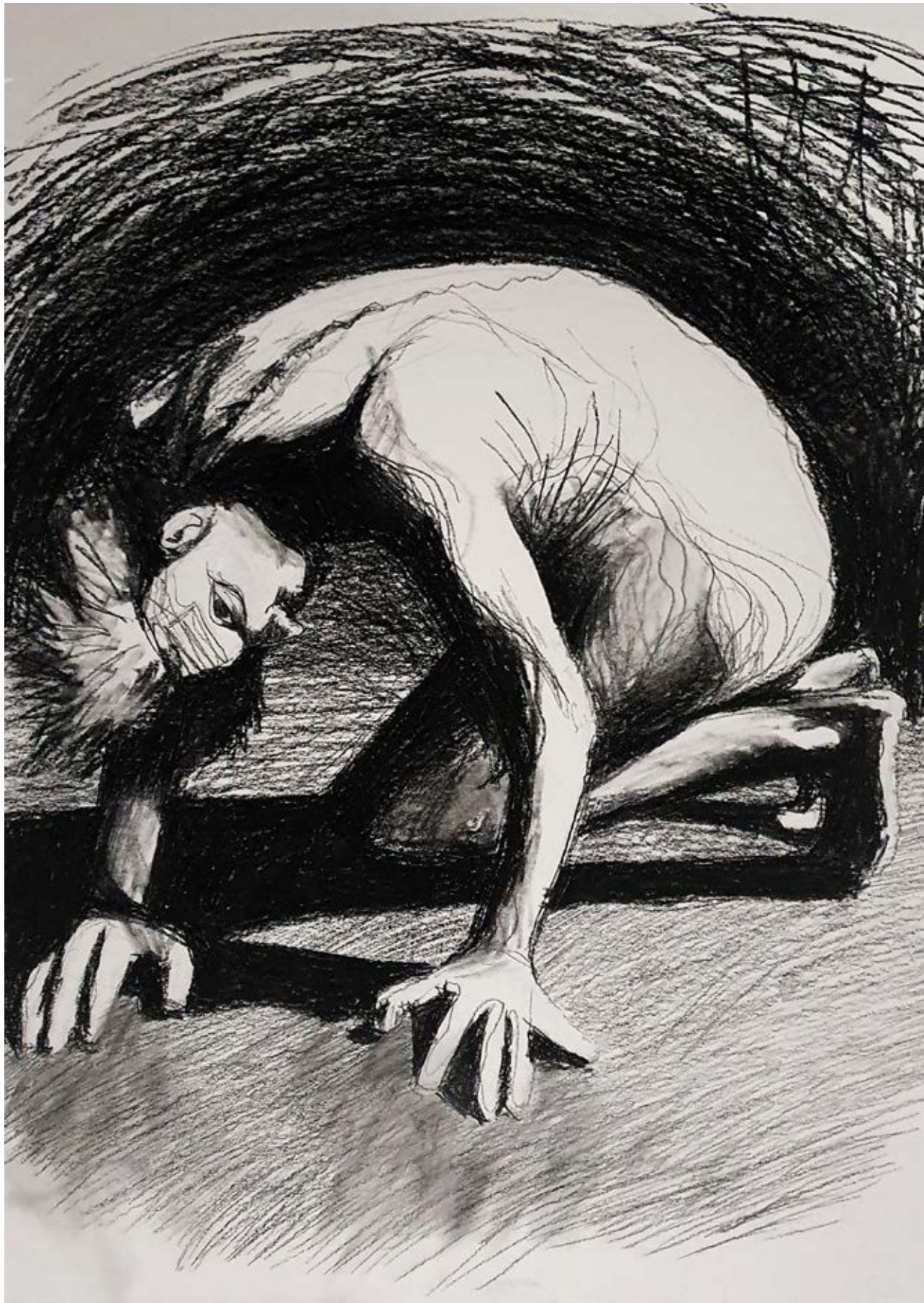
Zatrzymanie kultury nadmiaru bywa nawet potrzebne. Zaczynam zastanawiać się nad sensem tej pandemiozy. Czy to jakaś globalna zasadzka losu, wojna z nieprzewidywalnym, ciągle niewiadoma, realna izolacja. Mieliśmy dostęp do wszystkiego, trwały wakacje, ale znowu spotkania zawieszono na czas – do odwołania. Koronawirus podzielił świat na „przedtem” i „potem”. Oby było jakieś „potem”.

Z obaw i nadziei kobierzec tkam

*„Człowiek może znieść bardzo dużo,
lecz popełnia błąd sądząc, że potrafi znieść wszystko” (Elias Canetti)*

O epidemiach słyszało się od lat, chociaż ostatnio jakby częściej. Naprędce cisną się na myśl: hiszpanka, grypa stulecia, choroba szalonych krów, ptasia grypa, świńska grypa... Od roku bombardowani jesteśmy lawiną upiornych wieści na temat pandemii COVID-19. Takiej paniki nie spowodowała żadna z wcześniej wymienionych chorób. Może to kwestia jej ogólnosięwiatowego zasięgu? Pierwsze informacje o wymienionym straszidłe potraktowałam dość lajtowo. Ot, kolejna nagłośniona „zaraza” – pomyślałam. Gdyby nie obsesyjny kontakt z mediami, pewnie nie doznałabym szczególnego lęku przed zachorowaniem. Tymczasem dowiadując się, że jestem – ze względu na wiek oraz choroby współistniejące – w grupie osób „szczególnie narażonych”, po jakimś czasie zaczęłam już odczuwać pewne obawy. Nie spowodowało to jednak zmiany stylu życia. Jako emerytka, nawet bez pandemicznych obostrzeń pozostawałam na ogół w domu. A gdy wystraszony siostrzeniec zaproponował mi wyprowadzanie psa oraz dokonywanie zakupów, przyjąłam to z wdzięcznością. Oglądałam telewizję, śledziłam newsy w internecie i początkowo „łykałam” wszystko jak przysłowiowy pelikan. Nawet nie próbowałam wyrobić sobie własnej opinii na temat tego, co się akurat działo. A działy się rzeczy przełomowe!

Swoistym przesileniem było obejrzenie filmiku, który pokazywał przesuwający się w milczeniu konwój z transportem setek identycznych, bezimiennych trumien. Jego zwieńczenie przyprawiającym o dreszcze, rzewnym głosem trąbki wygrywającej żałobny nokturn – dopełniło reszty. Wstrząsnął mną nieokiełznany paroksyzm szlochu, a bezwolne łzy toczyły się po twarzy cienkim strumykiem. Później dowiedziałam się, że był to kondukt odnoszący się najprawdopodobniej do zupełnie innego miejsca i czasu. Ale... czy to ważne? Zadziałał koszmarny obraz połączony z dźwiękiem rozdzierającej serce melodii, które towarzyszą mi do dziś. Co najważniejsze, w moim przeświadczeniu ten koszmar był (i jest!) winą samego człowieka. W przeszłości bardzo interesowały mnie tak zwane globalne problemy świata, a o etycznych wyzwaniach współczesnej medycyny pisałam jedną ze swoich prac dyplomowych. Teraz skonstatowałam, że świat „zasłużył” na taką epidemię. Uznałam, że to nieunikniona „kara” za mnożące występki przeciwko naturze, nieliczenie się z jej prawami, za gwałcenie tychże. Oto Matka Ziemia najwidoczniej się upomniała o rehabilitację za krzywdy jej wyrządzone, zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach. To jej odwet za zuchwałe próby zabawy w Boga. Za eugeni-



Liza Nalewajko „Rozsądek pozbawiony głosu”

kę, chęć poprawiania natury, eksperymenty na embrionach, wnikanie w strukturę ludzkiego DNA. To okrutna kara za nieuprawnione ingerowanie w jej odwieczne i nietykalne prawa. Refleksji niniejszej towarzyszyła obawa, że dawny świat oddala się bezpowrotnie. Zaczęłam bać się tak pojętej „zemsty”. Miałam wrażenie, że ludzkość stanęła na krawędzi przepaści, a lada wiatr może nas zdmuchnąć jak pył w nieokreśloną otchłań. Że świat w sposób nieodwracalny zmierza ku zagładzie. Czy ten moment właśnie nastąpił?

Strachem nie da się jednak karmić bez końca. W każdym z nas istnieje mechanizm samoobrony. Koniecznością stało się więc przestawienie życia na inne, nowe tory. Jako senior-ka nieźle obeznana z nowymi technologiami, poczyniłam kolejne kroki, łamiąc tym samym dostępne mi dotąd granice. Poprzez stronę internetową swojego banku utworzyłam profil zaufany. Założyłam też Internetowe Konto Pacjenta i zaczęłam zeń korzystać. Stało się to wyzwaniem i koniecznością. Odtąd sprawne operowanie kontami bankowymi weszło na stałe do mojej praktyki. Również chyba już na stałe odstąpiłam od płacenia gotówką. Korzystam na co dzień z zakupów w sklepach internetowych wszystkich branż. W przeciwwadze do tego, co było covidową codziennością, niejako paralelnie kształtowała się na moich oczach inna, nowa „normalność”. Jak się okazało, ta przetrwała i ugruntowuje się na dobre. Nie ma dlań zresztą alternatywy. Wirtualne transakcje bezgotówkowe to chyba kolejna granica, którą przekroczyliśmy jako ludzkość. Na pierwszy rzut oka to sama wygoda. Jednak... czy na pewno?

Pandemia niejedno ma imię. To, na co dotychczas nie było czasu lub ochoty, stawało się niekiedy skutecznym antidotum na pustkę, nudę, na samotność, a nawet i na lęk. Aby polepszyć samopoczucie psychiczne, uczestniczyłam w różnych dostępnych szkoleniach oraz warsztatach online. Na jednym z webinarów podkreślano potrzebę ćwiczenia uważności. Odtąd starałam się najprostsze prace wykonywać w pełni świadomie. Krojenie chleba i wchłanianie jego zapachu, czucie wilgotności oraz temperatury wody podczas zmywania naczyń, gładzenie aksamitu listków roślin doniczkowych podczas ich podlewania – wszystko to starałam się zamieniać w doraźne misterium. Poranną owsiankę spożywałam powoli, delektując się jej prawdziwym smakiem. Z codziennego profanum ustanowiłam swoje sacrum. Świat jakby na nowo otwierał przede mną zaczarowane wrota. Zobaczyłam to, czego dotychczas nie dostrzegałam. Ujrzałam... niewidzialne! Miał rację Antoine de Saint-Exupéry, pisząc: „Dobrze widzi się tylko sercem. Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu”, co zwykł mawiać Mały Książę, główny bohater znanego na całym świecie arcydzieła.

Jednocześnie odczuwałam potrzebę sięgania do źródeł, do natury i prostoty. Po latach przerwy powróciłam do wypieku domowego chleba na zakwasie. Oto znów jego zniewalający zapach wdzierał się w najdalsze zaułki mojego mieszkania. Sporządzałam proste potrawy znane z dzieciństwa, a na ich bazie wymyślałam kolejne. Wypróbowywałam też nowe produkty,

warzywa, owoce, przyprawy. Zrobiłam zapas ziół z naturalnych źródeł, rozmaitych herbatk i innych suszonek. Przeszłam też sześciotygodniowy post Daniela, pomagający oczyścić ciało i umysł. Skutkowało to przekierowaniem myślenia na inne tory i ucieczką od czarnowidztwa.

Niepokojące myśli jednak wciąż się pojawiały. Mimo wszystkich zajęć na rozważania nadal zostawało wiele czasu. Sprzyjał temu odradzający się po latach koszmar bezsenności. Raz wmawiałam sobie, że nic niezwykłego się nie dzieje. To horrendum szybko przeminie, a my obudzimy się niebawem w dotychczasowej rzeczywistości. Ostatecznie – konstatowałam – mam swoje lata, jestem bezdzietna i samotna, więc może już tego bycia tutaj wystarczy? By w następnej godzinie żałować, bo przecież bardzo kocham życie i cenię swoją egzystencję na tym niedoskonałym, acz najpiękniejszym ze znanych mi światów. I że sześćdziesiątka z niewielkim okładem to jednak jeszcze nie pora na odchodzenie... Taka huśtawka nastawień i nastrojów była i jest na porządku dziennym.

Utrzymywałam regularnie kontakty z rodzeństwem, choć prawie wyłącznie poprzez komunikatory internetowe. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie pogarszająca się jakość relacji z jedyną siostrą. Najbliższą mi istotą, jako że jesteśmy bliźniaczkami i przez ogromną część życia – w każdej kwestii prawie zupełnie jednomyślnie! To głównie ze względu na nią tuż po przejściu na emeryturę przeniosłam się z innego miasta do Białegostoku i kupiłam mieszkanie w tym samym bloku, w którym żyje ona. Wtedy wydawało się, że osiągnęłam apogeum szczęścia. Tymczasem zaczęły narastać różnice naszych poglądów na wielu płaszczyznach. Okazało się, że obecnie postrzegamy świat zupełnie odmiennie. Zaś w okresie trwania pandemii powstała przepaść nie do zasypania. Już na wstępie każdego spotkania umawialiśmy się, jakich tematów nie powinniśmy poruszać, by nie doprowadzać do kłótni. Te biegunowo skrajne przekonania sprawiły, że zaczynało brakować tematów do rozmowy. A wcześniej nigdy nie starczało nam czasu do omówienia wszystkiego. Chcąc uniknąć dalszych nieporozumień, prawie zaniechałyśmy bezpośrednich kontaktów. Zaprzestałyśmy nawet wzajemnych reakcji na swoich kontach w internetowych portalach społecznościowych, aby czasem nie zareagować zbyt impulsywnie. To najbardziej dotkliwa strata, jaka dokonała się podczas pandemii. W najczarniejszych snach nie mogłam przypuszczać, że kiedykolwiek dojdzie do załamania bliskości z najukochańszą siostrą.

A zaraza ani myślała odpuszczać. Coraz więcej zakażeń, zachorowań i zgonów pokazywały krzyczące z ekranów liczby. Za to przerażała pustka na ulicach – widok rodem z filmów katastroficznych. Kiedy wirus zaczął się nieco wycofywać, poluzowano pandemiczne obostrzenia. Jednocześnie wspaniałomyślna pomoc siostrzeńca – niejako dla mojego dobra – zaczęła topnieć. Miałam się zmierzyć samodzielnie ze światem zewnętrznym. I wtedy wyraźnie odczułam, jak to ze mną naprawdę jest. Niewytłumaczalna niemoc, brak energii i siły do czegokolwiek. Zadyszka przy najblahszej czynności, niemożność pokonania jednego stopnia

schodów bez łapczywego chwytania powietrza, niczym u ryby wyrzuconej na brzeg. Konieczność odpoczynku po kilku krokach o lasce i natychmiastowe szukanie jakiegokolwiek siedziska. Teraz naprawdę strach mi zajrzał w oczy. Po perypetiach związanych z odbyciem wizyty u lekarza i peregrynacji po izbach przyjęć ostatecznie znalazłam się w szpitalu. Diagnoza: zator płucny ze wzmianką o ostrym sercu płucnym. Podobno miałam szczęście, że zdążyłam zgłosić się o czasie. Otarłam się o granicę życia i śmierci. Hospitalizacja mnie nie przerażała, a przeciwnie. Ufam lekarzom i cieszyłam się, że nareszcie jestem pod fachową opieką. Bo nie wszystkim w owym trudnym czasie było to dane. Czas spędzony w szpitalu, gdzie nikt nie mógł mnie odwiedzić, kazał zastanowić się, co jest w życiu naprawdę ważne.

„I w ciężkiej chorobie tkwi dobro. Kiedy ciało słabnie, silniej czuje się duszę” – to maksyma Lwa Tołstoja. Dopiero znalezienie się na granicy życia i śmierci zaowocowało refleksją sprzyjającą przewartościowaniu i zmianie paradygmatów, odwróceniem pojęć i znaczeń. Uważnie analizowałam konsumpcyjny styl życia, niekoniecznie własny. Doszłam do jedyne wniosku, że nastaje oto czas obalania starego porządku, ale też proponowania wizji nowych rozwiązań. To czas na prawdziwy przełom w wielu dziedzinach, zwłaszcza naszego stosunku wobec planety, na której żyjemy. To przenicowanie aksjologiczne, wywrócenie na lewą stronę tkaniny zwanej życiem. To odkrywanie świata na nowo i kwestionowanie wielu dotychczasowych prawd. Doszłam do przekonania, że warto te nowe wartości pielęgnować i podążać za nimi, a odważniej kwestionować dotychczasowe status quo. Albowiem każdy dzień powinno się celebrować, a nie jedynie „odhaczać”. Żyć pełnią życia, w absolutnej szczerości i zgodzie z samym sobą. Bo czyż to nie paradoks, że wyrazem naszej miłości do innych miałby stać się teraz... dystans?! A nie – jak dotąd – bliskość? Izolowanie się miast jednoczenia? Absurd zakazów i nakazów już dawno złamał nieprzekraczalny próg. Jesteśmy na krawędzi systemu wartości wyznawanych dotychczas. Jakże więc czuć się z tym komfortowo?

Tymczasem wciąż ma miejsce brak poczucia bezpieczeństwa oraz bazowanie na ludzkim lęku o zdrowie i życie. Odwrócenie pojęć i znaczeń owocuje niestabilnością w ich pojmowaniu. Sokratejskie przesłanie „Wiem, że nic nie wiem” jest aktualne jak nigdy dotąd. Dziś trudno o rozeznanie, komu można wierzyć, a jakie źródła wiedzy odrzucać. Stoję na granicy własnej bezradności względem racjonalnego a jednoznacznego stanowiska w kwestii koronawirusa, pandemii, szczepień... Z każdej strony słyszę wykluczające się wzajemnie stanowiska odnośnie spraw podstawowych. Uświadamiam sobie granicę przejawiającą się brakiem spójności i logiki w postrzeganiu tych zjawisk. I to jest mój największy dylemat na dziś. Arthur Schopenhauer powiedział: „Człowiek jest jedyną istotą dziwiącą się. Zwierzę żyje w spokoju, nie dziwiąc się niczemu”. Powtórzę więc za filozofem, że – zgodnie z jego myślą – pozwalam sobie na pozostawanie w owym zadziwieniu.

Wycieczka

Pada śnieg. Z granatowego nieba spadają malutkie płatki śniegu, które roztopiają się w mgnieniu oka wraz z dotknięciem rozgrzanego asfaltu. Lecą powoli, leniwie pobłyskują w świetle latarni. Nieśpieszno im do ziemi, jakby same chciały nacieszyć się tą krótką chwilą życia. Tańczą na wietrze, ale i tak kończą w kałużach czy pod kołami samochodu. Niektóre szukają schronienia, wplątując się w ludzkie włosy, osadzając się na czapkach, nosach i rękach. Potrzebują zimna, a lgną do ciepła, jak zawodowi samobójcy, albo po prostu wiedzą, że wszystko się kończy i chociaż ten jeden raz, pierwszy i ostatni, chcą doświadczyć ciepła drugiego stworzenia. Uciekają jak ludzie, brnąc wciąż do przodu, z nadzieją, że chłód, który ich zewsząd otacza, znajdzie swoje ukojenie w innym sercu.

Stawiam ostrożnie kroki na połyskującym chodniku i odważnie brnę przed siebie w tę zimną noc. Światła latarni wskazują mi drogę, a okna odbijają ciepła domowego ogniska. Marznę sama pośród wysokich budynków o surowych fasadach i sporadycznych dźwiękach pędzącego przez tę miejską dżunglę samochodu. Przeklinam się w myślach, gdyż powinnam była założyć cieplejsze skarpety czy dodatkową bluzę, jednak opuszczając mieszkanie w pośpiechu, nawet o tym nie pomyślałam. Stoję na światłach, a ulice są puste. Ostatnimi czasy nie jest to osobliwy widok. Kiedyś zrobiłam zdjęcie wymarłej warszawskiej ulicy w biały dzień. Wciąż trzymam je zachowane w galerii telefonu. Dzisiaj dla porównania nie złości mnie chociażby popołudniowy korek w zatłoczonym autobusie. Każda sposobność na przerwanie tej epidemicznej rutyny wydaje się przyjemna.

Docieram na przystanek i chowam się pod daszkiem. W słuchawkach leci moja najnowsza playlista. Poznaję muzykę na nowo. Ciężko mi wspominać, więc odkrywam przeszłość w innych tonacjach. Nadaję tempa tym monotonnym tygodniom i pozwalam im zlać się w jedną, wybraną piosenkę. Resztę sumiennie dzielę na to, co pamiętam i co wołałabym zapomnieć, choć i tak wiem, że nawiedzi mnie w nocnych koszmarach. Nadjeżdża tramwaj. Oceniam szybko swoje szanse na wolny kąt i wciskam się do środka. Opieram się o blaszane ściany, wpatrzona w mijany krajobraz za szybą. Stoję twardo na nogach, chociaż grunt się chwieje. Tak między nami: nie pierwszy, nie ostatni raz.

Pojazd gwałtownie wchodzi w zakręt, przez co muszę się bardziej postarać, aby nie upaść. Za oknem jest ciemno, ale doskonale wiem, gdzie jestem. Zza linii niewysokich drzew wyłania się duży budynek, z krzyżem wysuniętym ku niebu, którego ramiona próbują otaczać przechodniów, władczy ruchem zapraszając do środka. Fundamenty kościoła wydają się być

solidne. Pozostawione na podwórku rusztowania świadczą o trwających pracach remontowych w obrębie głównego wejścia. Jedziemy dalej, dzięki czemu pomimo mroku dostrzegam kilka cegieł i niebieską plandekę umocowane na dachu budynku, od tej mniej reprezentatywnej strony. Wszyscy dbamy o nasze fasady, które – targane przez wiatr i wystawione na liczne przeciwności losu – za każdym razem ponoszą największe wizualne straty. Przystrajamy się na zewnątrz, żeby zachęcić do nas innych, a nie zwracamy uwagi na podstawy naszych budowli. Zazwyczaj pierwsze oznaki zepsucia widać właśnie na samej górze, kiedy środek jest już tak zniszczony, że prawdopodobnie nie ma co ratować. Pamiętam, jak będąc dzieckiem, chodziłam co niedzielę z rodzicami na mszę. Śpiewałam piosenki, modliłam się za dziadków, wierzyłam, że nie wszystko spoczywa na moich barkach. Nie pamiętam, kiedy był mój ostatni dzień wspólnej przygody. Czy była to zima, czy wiosna? Byłam zła czy smutna? Dziś pamiętam tylko miłe wspomnienia związane z szarymi murami tego budynku, którego fasada może i nie była ładna, ale wydawała się bardziej autentyczna. Po szkole podstawowej tak wiele rzeczy okazało się kłamstwem. Staram się wierzyć, że tamte wspomnienia nie były jednym z nich.

Wychodzę z tramwaju na wcześniejszym przystanku, bo postanawiam się przejść. Śnieg już przestał padać, a ja cierpię stale na niedobór ruchu. Przechodzę przez pasy i idę chodnikiem w kierunku metra. Po drodze mijam warzywniak, do którego czasem podjeżdżałam po



Anna Dmochowska „Na granicy bliskości”

szkole na mojej czerwonej hulajnodze, aby zrealizować listę zakupów od mamy. Obok znajduje się stary kiosk. Kiedyś spędzałam niedziele, stojąc w kolejce do niego. Dzierżyłam dzielnie w ręczce banknot o niskim nominale, jak drogocenny skarb, po to, aby kupić nowy numer ulubionego komiksu z wrózkami. Czasem zaglądałam po czasopismo z dodatkiem w postaci płyty z przygodami Barbie dla siostry, a kiedy indziej po gazetę dla taty.

Zawsze chciałam pisać. To marzenie przewija się przez całe moje życie i odbija od poszczególnych etapów, przybierając różne formy. Niekoniecznie ciągnęło mnie do blasku w świetle kamer. Wolałam być oceniana przez to, co piszę, a nie jak wyglądam czy mówię. Stała kontrola osób medialnych dla człowieka, który chwyta przypadkowe momenty wolności jak ostatni haust powietrza, wydaje się być męcząca i zwyczajnie nieakceptowalna. Zdecydowanie bardziej interesowała mnie praca w prasie, ale i tu z czasem wyszły na jaw mankamenty. Świat wymagał ode mnie wyboru, wpasowania się w rubrykę i przyklejenia sobie łatki z jej nazwą, połączenia naszych imion. Nigdy nie chciałam zostać matką tylko jednego dziecka. Zależało mi na tym, żeby tworzyć, a potem przygarniać odbiorców, którzy chcą czytać te wybrane, nieśmiało zredagowane strzępki myśli płynące z serca. W końcu to powinno liczyć się najbardziej. Otóż okazuje się, że świat wcale nie został zbudowany w ten sposób. Możliwe więc, że już nigdy nie stanę w kolejce do kiosku, bo wszystko, co czyjeś, mogę znaleźć w internecie, a każdy dobry rodzic trzyma w domu pustą półkę na zdjęcia osiągnięć własnych, nie cudzych dzieci. Stąd powstał pomysł na napisanie swojej książki, ale wraz z upływem czasu, gdy ja dojrzevam, marzenie to, zamiast proporcjonalnie stawać się coraz bardziej osiągalne, przybiera na sile, opancerzając się w wyjątkowo trudną dla mnie, emocjonalną zbroję. Pandemia w teorii dała mi czas, ale zabrała przestrzeń i chęci do spełniania marzeń. Jak uwolnić myśli, kiedy wokół tyle ograniczeń...

Docieram do metra. Duża litera M przyciąga ludzi niczym ćmy do światła. Na ulicy panuje już większy ruch. Zamaskowane postacie w mechanicznym, szybkim tempie mijają się na chodnikowych rozdrożach czy w wąskich korytarzach podziemia. Spoglądam na ich twarze. Żaden z ich uśmiechów nie sięga oczu. Nawiedza mnie myśl, że może po prostu się nie uśmiechają, ale chyba wolę wierzyć, że są osoby, które potrafią jeszcze odnaleźć szczęście w tych czasach. Wchodzę przez bramki i staję na peronie. Nieopodal mnie siedzi na ławce dwóch chłopaków. Jeden wygląda uroczo. W moim typie – szybko oceniam. To zadziwiające, jak nadzieja na scenariusz niczym z komedii romantycznej czy dobrego dramatu wpływa na nasze wyobrażenie rzeczywistości. W moich myślach patrzę się na niego, on dostrzega mój wzrok i z odległości dwóch metrów odczytuje moje intencje. Wstaje, podchodzi do mnie, pomimo że mam słuchawki na uszach i sugeruję światu moją postawą, że nie potrzebuję interakcji. Kiedy jest już blisko, nasze spojrzenia się krzyżują, a on zakochuje się w moich oczach, bo przecież tylko to widać spod maseczki i otulających ciało warstw. Zabawne, jak kiedyś nie doceniałam

możliwości mimiki twarzy. Zaróżowione policzki, delikatny uśmiech, nieśmiałe spojrzenie w połączeniu z otwartą postawą ciała i odrobiną chęci mogły być dobrą przestrzenią do zawierania nowych znajomości. Dzisiaj nie mam złudzeń, dzisiaj pozwalam sobie tylko wyobrażać. Nawet nie próbuję wyłapać jego spojrzenia. Oceniam, spuszczam głowę, zostaje mi trochę czasu do przyjazdu pociągu, aby wymyślić, co by było, gdyby. Wracam na ziemię wraz z piskiem hamulców. Wsiadam do wagonu i już jest mi ciepło, przytulnie. Tak znajomo, ale czy dobrze?

Gdybym miała wybrać moją ulubioną stację podziemnej kolei, wybrałabym stację Świętokrzyską. To nie tylko miejsce, gdzie w stolicy przecinają się dwie linie metra, ale łączą się z tym również jedne z najlepszych wspomnień w moim życiu. Mój rocznik zasmakował jeszcze ekstremalnych warunków gimnazjalnego życia. Jeżdżąc w tamtym okresie do szkoły, wysiadałam właśnie na tej stacji. Pierwsze poważne decyzje, miłości, rozmowy i wspomnienia sprowadzają się do tego peronu, na którym do dziś wysiadam, czując przyjemne ciepło rozpościerające się po ciele. Czy dobrze wspominam czasy gimnazjum? Nie był to mój ulubiony okres w życiu, ale dzisiaj myślę, że był po prostu potrzebny. Dzięki temu stałam się osobą, która już w późniejszych latach przyjeżdżała na Świętokrzyską, żeby przesiąść się do drugiej linii metra i pojechać na Centrum Nauki Kopernik, moją drugą ulubioną stacją, aby spotkać się z przyjaciółmi z liceum nad Wisłą. Teraz wiem, że wszystkie łzy smutku czy radości doprowadziły mnie do miejsca, w którym dziś jestem, i powiem szczerze, że podoba mi się to, co stąd widzę.

Wszyscy mówią, że studia to najlepszy okres w życiu. Prawdę powiedziawszy, nie wyobrażam sobie, żeby cokolwiek mogło przebić czasy mojego liceum. Jedyną rzeczą, której żałuję wśród naprawdę licznych niewypałów ówczesnych lat, to tego, że nie mogłam spędzić ostatnich miesięcy przed maturą w murach tej szkoły. Pandemia zepsuła nam wiele pierwszych i ostatnich razów, ale to wspinałam się, jak ludzie potrafią sobie radzić, jeżeli im zależy. Moja najdłuższa wideorozmowa z przyjaciółmi trwała osiem godzin. To trochę jak z małżeństwem – w zdrowiu i w chorobie, w pandemii online i stacjonarnie będę cię kochał...

Wysiadam z metra i wspinam się po schodach ku wyjściu. Czuję na policzkach mroźne powietrze. Otulam się ciasniej szalem i idę przed siebie. Zbaczam z głównej drogi i skręcam w uliczkę, która oświetlona blaskiem latarni, prowadzi mnie pod wiaduktem, w kierunku nowoczesnego osiedla. Czuję się nieswojo. Czy gdyby coś się stało, mój krzyk zostałby wyłapany spośród odgłosów miasta? Ludzie słyszą tylko to, co chcą usłyszeć. Nie każde wołanie o pomoc niesie przecież za sobą podniesiony głos i chaotycznie wypowiedane słowa. Najbardziej niebezpieczne są te najcichsze prośby, których właściciele chowają się w cieniu, bo nie mają już siły krzyczeć.

Coraz więcej osób sięga po pomoc u psychologa. Sama przekonałam się, jaka to odwaga o nią prosić i jak ciężką pracę trzeba wykonać, aby uporządkować ten nagromadzony bałagan. Jesteśmy swoim największym katem, co tu dużo mówić. Kolekcjonujemy własne pułapki, aby później móc

w nie wpadać. Usłyszałam kiedyś, że to po prostu niehumanitarne być dla siebie aż tak surowym. Cóż, zgadzam się, a mimo to każdej nocy nie mogę zasnąć. Bo gdy leżę zmęczona i bezbronna, najgorsze strachy wychodzą z ciemnego kąta mojego umysłu. Czy gdyby nie kwarantanna, to lepiej bym spała? Wątpliwe. O dziwo, pandemia wprowadziła więcej zdrowia do mojej codziennej rutyny i psychiki niż negatywnych wpływów. Dostałam czas, żeby poznawać i pokonywać swoje lęki, oraz przestrzeń, żeby nad nimi pracować. Nigdy jednak nie przestałam tęsknić za normalnością. Mówią, że człowiek z czasem przyzwyczaja się do wszystkiego, a mimo to ja wciąż czuję na piersiach ciężące znamie tęsknoty. W życiu nie zapomnę pandemii tego, co mi zabrała...

Docieram do wejścia na patio. W kantorku siedzi ochroniarz i uważnie mnie obserwuje. Wystukuję numer apartamentu i czekam, aż ktoś mi otworzy. Pcham furtkę i wchodzę na teren wspólnoty. Doskonale znam drogę. Już po chwili stukam do ciemnobrązowych drzwi. Na klatce pachnie płynem dezynfekującym. W windzie zdążyłam już zdjąć czapkę i масечkę. Przeczesuję włosy i próbuję je jakoś ujarzmić. Słyszę szcęk klucza.

– Heeej. Nie sądziłam, że przyjdiesz. – Dziewczyna wita mnie z rezerwą, ale wpuszcza do środka.

W mieszkaniu jest ciemno. Jedyne światło dobiega spod szafek z połączonej z salonem kuchni. Wszystkie zasłony zostały zaciągnięte. Na podłodze walają się pudełka po zamawianych na wynos fast foodach. Dostrzegam kilka pustych butelek.

– Przepraszam za bałagan. Rozbierz się, a ja wstawię wodę na herbatę – oznajmia, zamykając za mną drzwi. Nie wiem, co powiedzieć.

Siedzimy przy wielkim stole w kuchni, a każda z nas dzierży kubek w dłoni.

– Przez telefon brzmiałaś na bardzo zdenerwowaną, martwiłam się – zaczynam nieśmiało.

– Taaaak... To było tylko małe załamanie. Wiesz, czasem tak mam, kiedy zostaję sama w domu. Ale reszta rodziny wraca jutro, więc do tego czasu się pozbieram, nie musisz się o mnie martwić. – Wie, że jej nie wierzę, bo mam prawo jej nie ufać w tej kwestii, więc dodaje: – Hej, nie przejmuj się tak. Nic sobie nie zrobię, wiesz przecież, że ja chcę żyć.

Patrzę na moją przyjaciółkę. Patrzę na jej szarą cerę, wystające kości i czarny sweter, którego rękawy są tak długie, że zakrywają aż połowę dłoni. Zastanawiam się, jak wiele tajemnic jeszcze skrywa, o których nawet ja nie wiem. Boję się zaglądać do kosza na śmieci, aby zobaczyć, co nagromadziła, oraz do apteczki, aby sprawdzić, czego brakuje. Patrzę w jej uśmiech, który oczywiście nie sięga oczu, bo te oczy są po prostu przygasłe, smutne. Patrzę i zastanawiam się, jak w takim razie muszą wyglądać osoby, które nie chcą już żyć. Nic nie mówię. Upijam łyk herbaty i silę się na delikatny uśmiech, bo wtedy nikt nie zwraca uwagi, czy oczy mówią prawdę.



Gumowski

Dariusz Gumowski „Przejście”



Morska wyprawa ku wyspom szczęśliwym

Każdy z nas podróżuje do swojej własnej Utopii. Zawsze jest to trochę inna podróż, ale wszystkich łączy to doświadczenie zmierzania do wymarzonego lądu i bycia w drodze. Niekiedy wydaje się, że już do niego dobiliśmy, by po jakimś czasie okazało się, że jesteśmy zmuszeni znów wyruszyć. Opowieść o tej wędrówce towarzyszy nam od samych początków. Już Adam i Ewa zostali wygnani z raju i ruszyli w podróż, by na nowo odnaleźć utracony Eden. Ta tułaczka w poszukiwaniu idealnego świata nadaje sens naszemu życiu i działaniu. Jest naszym podstawowym i niezaspokojonym pragnieniem. Oscar Wilde pisał w jednym ze swoich esejów: „Nie warto nawet spojrzeć na taką mapę świata, która nie zawiera Utopii, pomija bowiem ten kraj, na którego brzegach Ludzkość zawsze ląduje. A kiedy już tam wyląduje, rozgląda się i widząc kraj lepszy jeszcze, rozwija żagle”.

Pandemia wyrzuciła nasz dotychczasowy świat do góry nogami. Sprawiała, że wielu z nas zostało zmuszonych do opuszczenia bezpiecznych przystani i wyruszenia w trudną drogę. W dodatku często trzeba było poruszać się po omacku. Pewniki i wskazówki, które do tej pory oświeślały nam ścieżki, spowił mrok niepewności i strachu. By dotrzeć do naszego upragnionego lądu, trzeba pokonać wiele granic. Zarówno tych w otaczającym nas świecie, jak i tych istniejących tylko w naszych głowach. W tym roku mogłem się o tym przekonać na własnej skórze.

W pierwszych tygodniach pandemii byłem przekonany, że będzie to okazja do tego, by trochę zwolnić, zadbać o siebie i pomyśleć o tym, jak lepiej poukładać świat. Ten wokół siebie, ale też ten wielki, który właśnie zapukał do naszych drzwi. Pod koniec kwietnia pisałem: „... jestem przekonany, że aktualny kryzys możemy wykorzystać do tego, by szukać języka, który w nowy sposób będzie opowiadał i tworzył nasz świat. Przyda się do tego zadbanie o siebie i ludzi wokół, przyjrzenie się temu, co tak naprawdę ważne i istotne w naszych działaniach społecznych, i myślenie o niemożliwym. Być może jest szansa, że z tego kryzysu wyłoni się świat choć odrobinę lepszy i bardziej czuły”.

W maju, zamiast rozmyślać, musiałem zacząć działać. Straciłem pracę. Okazało się, że moja umowa nie zostanie przedłużona. Przyszła pora pozbierać zabawki i opuścić port, w którym spędziłem ostatnie 2,5 roku. W lipcu 2020 roku jawiło się to jako co najmniej karkołomne zadanie. Trzeba było wypłynąć na wzburzone wody: pandemia, kryzys gospodarczy, gorąca sytuacja społeczno-polityczna... W dodatku wszystko spowite w gęstej mgłę niepewności.

Tym razem wyruszyłem w podróż na nieznane i niezbadane wody. Zupełnie inną niż w momencie wchodzenia na rynek pracy. Zacząłem pracować jeszcze w trakcie studiów. Bardzo płynnie zmieniłem uczelniane mury na pracownicze biurko. W tamtym momencie towarzyszyła mi młodość. Poczucie, które świetnie opisał w jednym ze swoich mini-wykładów o maxi-sprawach Leszek Kołakowski. Ten pociągający stan, gdy wszystko jest możliwe, wszystkie drzwi otwarte i można wyruszyć tam, gdzie tylko się nam zamarzy. Teraz mądrzejszy o bagaż (balast?) doświadczeń wiedziałem, że nie do końca tak jest. Wiele miejsc i możliwości pozostanie dostępna już tylko na papierze. Zupełnie jak miejsca, o których przeczytać możemy w „Atlasie wysp odległych” autorstwa Judith Schallansky. Wysp na pograniczu realności i niedostępności, gdzie to, co prawdziwe, miesza się z naszymi pragnieniami oraz wyobrażeniami.

Tak też trzeba było oddać cumy i odbić od znanego brzegu. Na samym początku rejsu w nieznane musiałem na nowo przejrzeć, co znajduje się na wyposażeniu mojej łodzi. Wszystkie dokumenty poświadczające staż pracy, dyplom ukończenia studiów, kursy, zaświadczenia... Nie obyło się bez prac bosmańskich oraz przygotowania nowego ekwipunku: aktualnego CV, listów motywacyjnych, założenia konta na portalu LinkedIn. Z początku, mimo trudnych, sztormowych warunków, towarzyszył mi optymizm. Wydawało mi się, że przecież kwestia znalezienia nowej pracy nie może być aż tak trudna i moja podróż nie potrwa długo.

Nie da się ukryć, że przy wypływaniu ze starego portu towarzyszyło mi wiele emocji. Smutek za tym, co zostawiam za sobą. Rozczarowanie sposobem i momentem, w którym się to wydarzyło. Niepokój o to, co mnie czeka, ale też naturalny w tych czasach strach przed zarażeniem się nowym wirusem, powikłaniami czy narażeniem zdrowia najbliższych.

Mijając główki portu i kierując się na otwarte morze, musiałem wyznaczyć nowy kurs. W kierunku nowej utopii, a przynajmniej ku jakiejś bezpiecznej przystani. Od zawsze interesowały mnie przeróżne aspekty rzeczywistości i rzadko kiedy chadzałem najbardziej uczęszczanymi szlakami. Ta przypadłość nie była pomocna w nawigowaniu w tych niełatwych warunkach. Na samym początku brałem pod uwagę trzy możliwe kierunki mojej podróży. Pierwszy z nich był związany z moim wykształceniem, czyli prawem. Drugi to praca w organizacjach społecznych, czyli coś, co robiłem do tej pory. Trzeci zakładał przybicie do pierwszego możliwego lądu, tak żeby bezpiecznie przeczekać zawieruchę. Zygmunt Bauman opisując współczesny świat, określił go mianem płynnej rzeczywistości. Korozji i rozpadowi ulega wiele elementów naszego krajobrazu: autorytety, instytucje, wierzenia czy przekonania. Pandemia sprawiała, że ta ogólna niepewność jeszcze się pogłębiła. Brak na horyzoncie dobrze widocznych punktów nawigacyjnych.

Pierwszy kierunek ku archipelagowi Ius wydawał się być najrozsądniejszy. Doniesienia o jego istnieniu znane są już od czasów starożytnego Rzymu. Wśród wysp tego archipelagu

znajdują się tereny o bardzo zróżnicowanym krajobrazie. Porty bywają niezwykle wystawne i prestiżowe. Nigdy nie był to mój wymarzony kierunek, ale wydawał się być dobrym schronieniem na niespokojne czasy. W końcu ludzie zawsze mają problemy z prawem.

Kierunek ku Terra Socialis – lądowi działań społecznych – był dla mnie z pewnością najbardziej pociągający. To dla mnie znana i ukochana ziemia. Współtworzyłem wiele osad na tym lądzie. Ziemia w tamtych rejonach nie należy do łatwych – są pracochłonne i nie zawsze przynoszą obfity plon. Choć gdy już się to wydarzy, daje to ogromną satysfakcję. Droga wydawała się też stosunkowo najkrótsza i najprostsza. Wystarczyło płynąć wzdłuż brzegu i wypatrywać jakiegoś otwartego portu na tym samym kontynencie.

Trzeci pomysł bazował na jak najszybszym znalezieniu miejsca, w którym można by bezpiecznie przybić i przeczekać największą nawałnicę. Jednocześnie wykorzystać ten czas na przygotowanie do dalszej podróży i regenerację sił. Pomysł być może ciekawy, ale też obarczony ryzykiem, że można osiąść w takim miejscu niczym na mieliźnie na długie lata.

Nawigowałem tak, by mieć w zasięgu wzroku każdą z trzech powyższych krain. Dzięki temu mogłem wypatrywać światła latarni morskich – oferty pracy. Wysyłanie CV przypominało przygotowywanie listów w butelce, które piszą rozbitkowie. W okresie od maja do grudnia przygotowałem ponad 70 aplikacji. Tylko nieliczne spotkały się z jakąkolwiek informacją zwrotną. Niejednokrotnie sprawiało to, że stawałem na granicy wytrzymałości. Doświadczenie długotrwałego poszukiwania pracy potrafi być ciężkie do zniesienia. Z jednej strony to oczywiste, że wszyscy mierzymy się z bezprecedensowym w naszych czasach globalnym kryzysem. Z drugiej brak odpowiedzi na kolejne wysyłane CV podkopuje wiarę w siebie i własne umiejętności. Wgryza się niezauważenie niczym rdza w poszycie jachtu. Po jakimś czasie można się zorientować, że w błyszczącej i wypolerowanej burcie pojawia się dziura, przez którą zaczyna sączyć się woda. Naprawienie takiej usterki w trakcie wyprawy nie jest łatwe. Potrafi znacząco utrudnić dalszą podróż, a w najgorszym wypadku doprowadzić do zatonięcia jednostki.

Inną trudnością tej ekspedycji były wieści docierające z bliska i daleka. Każdy żeglarz w trakcie swojej podróży musi na bieżąco zbierać i analizować jak najwięcej informacji: prognozy pogody, ostrzeżenia nawigacyjne, boje, znaki kardynalne czy pozycję innych jednostek. Jest to niezbędny warunek bezpiecznego żeglowania. Obecnie w potoku informacji trudno odnaleźć te rzetelne i godne zaufania. Co więcej, obcowanie z nimi poprzez media społecznościowe jest niezwykle wyczerpujące emocjonalnie i potrafi zdołować. Kolejne posty, memy i filmy są niczym syreni śpiew, który zwodził żeglarzy. Któż z nas nie złapał się na bezmyślnym przewijaniu kolejnych postów na Facebooku czy Instagramie? Niekiedy wydaje się, że jedyną możliwością postawienia granic w tym obszarze są rozwiązania przypominające to, które zastosował Odyseusz. Przepływając nieopodal wyspy, na której mieszkały syreny, kazał

przywiązać się do masztu swojego okrętu. Inaczej porzuciłby cel swojej podróży. Tak samo zalew informacji podkopujących samoocenę czy radykalizujących postrzeganie świata potrafi nas obezwładnić.

Z pewnością to, co w dotychczasowej podróży sprawiało, że dalej mogę płynąć, to wsparcie wielu wspaniałych i życzliwych mi osób. Nieraz pomagały wybierać mi wodę z kokpitu czy dzieliły się wiedzą z zakresu nawigacji po meandrach rynku pracy i życia. Najważniejsze jednak, że zawsze wierzyły w to, że w końcu znajdę nowy port. Taki, który być może stanie się moją nową Utopią.

Dotychczasowa podróż była i jest trudna. Niejednokrotnie miałem dosyć i nie widziałem sensu dalszej żeglugi. Mimo wszystko ciągle płynę dalej. Nieraz w tym czasie przekraczałem granice. Czy to opuszczając znany do tej pory port, czy zmieniając myślenie o samym sobie i wyglądzie mojej Utopii. Nawigowanie po pograniczach nie należy do przyjemnych. Często dostarcza wielu rozczarowań. Pozwala też jednak odkryć wiele rzeczy, o których istnieniu nawet nie wiedzieliśmy. Dzięki temu łatwiej wyznaczyć właściwy kurs do swojego wymarzonego portu. Warto o tym pamiętać, gdy na niebie nie widać gwiazd ułatwiających bezpieczną żeglugę.



Gabriela Zawadzka „Granica skrajności”

Jest rzeczą równie rozsądną ukazać jakiś rodzaj uwięzienia przez inny, jak ukazać coś, co istnieje rzeczywiście, przez coś innego, co nie istnieje. (Daniel Defoe)

Quid est veritas

Niedawno, zupełnie niedawno temu była sobie dziewczynka, która marzyła o zdanej maturze, dobrych studiach i wielu, wielu innych rzeczach, a jej marzenia były i maleńkie, i ogromne, a wszystkie razem trochę śmieszne, bo któż z nas nie miał takich marzeń. I tą dziewczynką byłam ja.

Chyba zaczął się już marzec, kiedy jak na ironię losu kończyłam czytać powieść Camusa – była obowiązkowa na lekcje polskiego. Wciąż jeszcze śniłam o miasteczku pełnym szczurów i ludzi, niewiele od nich lepszych, i kiedy ścieliłam łóżko, ze zdumieniem odkryłam, że pod moją poduszką zagnieździł się mały, pomarszczony intruz. Chwyciłam go w dwa palce i obserwowałam uważnie, czy nie ożyje nagle lub nie poruszy wąsami, które już trochę mu urosły. Musiał tam leżeć długo. Księżniczką na ziarnku grochu chyba nie mogłabym zostać. Zawołałam tatę. Wiadomo, że takie rzeczy załatwia zawsze ten, kto brzydzi się najmniej. Zabrał ode mnie pomarszczonego potworka z miną winowajcy. Sam go tam podrzucił. Przy okazji wsadzania czosnku w doniczki przeczytał o jego zdrowotnych właściwościach, podłożył więc małe, księżycowe ząbki pod poduszki, po jednym dla każdego. Miały ukoić nerwowość serca i wzmocnić organizm. Potem planował przesadzić je do ogrodu, aby strzegły ziemi przed ślimakami i innymi nieproszonymi biesiadnikami, które chciałyby wyżywić się warzywami z jego grządk. Roześmiałam się, słysząc o tym. Czosnki na wartę i baczność. Ostatecznie ząbek wrócił pod poduszkę. Miałam tylko nadzieję, że te ząbki odstraszą również koronawirusy. I wampiry. I ustrzegą blondynki przed ich głupotą i postradaniem zmysłów.

Domownicy, odkąd odkryłam straszaki na wampiry i wirusy, głośno chwalili dobre sny w nocy i to, że wstają wypoczęci, przypisując to dobroczynnemu działaniu oparów tego warzywa, wydzielających się spod poduszki i wnikających w nozdrza. Musiałam stanowczo zaprotestować przeciwko pomysłowi taty, który doniczki z rosnącymi czosnkami chciał postawić na parapecie mojego okna, bo „tam im będzie najśłoneczniej”. Czosnek może i dobry na odporność, ale na pewno nie pachnie jak róża.

Potem, kiedy wybroniłam się już od „parapetówki” współlokatorów, śmiałam się, że jednak pozytywnie przeszłam test na prawdziwość księżniczki. Moje wąsate, czosnkowe ziarenko grochu ukryte pod poduszką oraz chrobot szczurów w miasteczku Oran nie dały mi zmrużyć

oka. Chwyciłam czosnek i wyrzuciłam przez okno. Podobno więzione w wieżach były samotne.

A świat zwariował. Ja walczyłam z czosnkiem i zadaniami maturalnymi, a ludzie? Przeglądając internet, natknęłam się na porady w stylu: „Jedz czosnek codziennie – wirusa tym nie zabijesz, ale przynajmniej ludzie będą trzymali stosowną odległość”. „Na bezrybiu i rak ryba – jedz czosnek, gdy w sklepach brak makaronu”. „Twój partner krzywi się przy pocałunkach? Przyrządź romantyczną kolację dla dwojga! Habitacja węchowa to jest to!”. „Pokochaj witaminy” – a na zdjęciu oczywiście...

I ludzie machali ręką na strzygi i wampiry, twierdząc, że ich nie ma, bo nie widzieli. A że z wirusem coś może być i że wypadałoby przełożyć czosnkowy ząbek spod poduszki na patelnię. Trzeba wzmocnić odporność od środka. A kto widział wirusa? Nasze życia są cieniami innych żyć, ruch ręką tam, ruch cienia tu. Kto słyszał o chorych wśród nas, wśród najbliższych, sąsiadów? Więc wnioskowanie „nie widziałem, więc nie ma” jest prawdziwe, tylko gdy dotyczy ssących krew, a fałszywe dla każdego innego przypadku, gdy w żyłach, w czerwoności, krąży coś nieznanego i wnika w nie takie małe, niewidzialne? Wierz, gdy wierzy kamera, nauka i Ameryka. Nie wierz, gdy i one nie wierzą. A powszechne twierdzenia to już i prawda, i wiedza, i grawer umysłu, prawda, Leibniz? Ugryzłam kawałek miniaturowego herbatnika z czekoladowym brzuszkiem. Cukier przedostanie się do krwiobiegu. Boże, a krew krzyżowa? Quid est veritas?

W wazonie na stole stał bukiet kwiatów urodzinowych. Różowe gerbery. Może były moje. Może mamy. Wszystkie dni są takie same.

Słyszałam dziwną pogłoskę, że procesje z okazji Wielkanocy mają być przełożone na wrzesień. Czy to może być prawda? Co będzie z maturą?

Wyciągnęłam do nich rękę. Myślałam: „Jeśli życie utrzyma się takie, jak teraz, to... Co? No właśnie: co?”. On zmartwychwstanie – spada płatek, nie zmartwychwstanie – spada płatek, będzie matura – spada płatek, nie będzie... „Ale wróćmy do szkół w czerwcu. Musimy wrócić”.

Potem było już pięć zakażeń w Podlaskiem, a szkoły zamknięte do świąt.

Nadeszła pora na przesadzenie w ziemię czosnku. Zwlekaliśmy wcześniej, ze względu na zapowiadane wciąż przymrozki – temperatura w nocy osiągać miała poziom bliski zera i poniżej. Dłużej jednak zwlekać się nie dało. Zielone szczypiorki sterczały jeszcze wysoko i zadziornie, ale zauważalnie przywiedły ich listki. „Ciasno im” – rozczulił się tata. „Ale wciąż są dzielne”. Dziwiłam się, że nie mówił o nich jeszcze „Czosnkowie”.

Do tej pory zajmowali wakacje na górze, gdzie gnieździł się w domowych pieleszach. Pomyslałam, że nie będzie z nich twardych wojowników. Spartańskich warunków zdecydowanie nie mieli.

Przemeldowanie Czosnków do koszar w ogrodzie zapoczątkowane było przez poruszenie podłużnej donicy balkonowej, która wydała na świat ze swojego środka swoisty, intensywny zapach, który przestraszyłby niejednego wirusa. Kiedy poczułam prawie namacalnie obecność Czosnków, ucieszyłam się znowu, że zostało mi jednak oszczędzone posiadanie tak charakterystycznych współlokatorów.

Zostali więc zakwaterowani na obrzeżach grządek, ci dzielni granicznicy. Wyrzuciliśmy z donicy chłopaków i dopiero wtedy zobaczyliśmy, jak bardzo rozrosły się im korzonki. Nic dziwnego, że listki im się zwijały. Ciasno im było bardzo, gnieździł się na tej maleńkiej przestrzeni jak obecnie ludzie. Nastawał jeden drugiemu na przestrzeń osobistą, prywatne myśli i krzykiem domagał się tam kąta i dla siebie. W domach i w blokach – u tych, którzy nie mogli wyjść z mieszkań; z malutkich kwaterek, wystarczających tylko do spacerów z salonu do kuchni i wychylenia głowy na balkon – płątały się tu ludzkie relacje i związki jak u Czosnków splątały się korzenie, pookręcały łodyżki. Życie razem zbliżyło do siebie tak bardzo, że to uciskało i deformowało. Oby nie trzeba było ucinąć tych wspólnych korzeni. Dopiero teraz Czosnki rozprostują korzonki i z westchnieniem wyprostują zeszywniałe, zreumatyzowane, a przecież tak młodziutkie listki. Czy tak będziemy wyglądać i my, ludzie, kiedy zniosą te wszystkie obostrzenia? Uszy rozkrzaczane jak brwi, brwi ściągnięte jak wargi, wargi wygięte jak w podkówkę, a podkówka obrócona w dół, na wróżbę nieszczęścia?

W odległościach około półmetrowych (odstęp zachowany!) Czosnkowie posiadali na skrajach grządek i w rogach, po dwa na jednej. Byli pierwszymi lokatorami naszego poletka. „Tutaj damy więcej” – powiedział tata, wskazując na grządkę krańcową, wykopaną w pobliżu płotu oddzielającego nas od obu sąsiadów. „Spodziewam się stąd zmasowanego ataku ślimaków”. No tak. Kto wie, co za lichy siedzi u innych, skoro nie wiadomo, co jest u nas?

Ale było to uzasadnione działanie. Z jednej strony sąsiad miał zapuszczony kawał ziemi, na którym nie było absolutnie nic. Z drugiej strony sąsiad ledwie dwa dni wcześniej uprzątnął to, co jak widzieliśmy, trzymał na działce, odkąd się wprowadziliśmy. Zniknęły więc walające się tam dotąd stare gałęzie, sterty kamieni i chwasty. Pewnie dostał możliwość pracy zdalnej i w swoiste koronaferie miał więcej czasu na zajęcie się domem. Może miał dość narzekania żony i dzieci? Może ich drobne, łodyżkowate ramionka oplatały jego szyję zbyt ściśle? Kto wie, jakie lichy przyjdzie do nas zza tych płotów? Zastanowiłam się, czy czosnki rzeczywiście odstraszą śluzowate wampiry nowalijkowe. I czy taka zaporę nie jest przypadkiem za rzadką, za bardzo dziurawą. Pół metra? Brzmi dość nieporadnie. Może ślimaki, zatykając swoje nosy, które przecież chyba gdzieś tam mają pomiędzy rogami czy otworem gębowym, służącym do wyżerania sałaty z ogródka taty, przedzierać się będą pomiędzy czosnkami z okrzykiem: „Uch, coś za zapach! Środeczkiem, panowie, środeczkiem!”. Chyba nie wierzyłam do końca w zbaw-

czą moc zapory zapachowej i w siłę czosnkowego, warstwowego pancerzyka.

No cóż, uprawa Czosnków miała i tak wiele zalet. Wtedy przycieciowały naszych grządek, a ostatecznie skończyłyby pewnie w sałatce wzmacniającej odporność, gdyby wkrótce nie wymroziła ich niska temperatura. Czosnki sterczały na grządce dumnie, jak żołnierze na warcie. W zeszłym roku tę strategiczną pozycję pełniły złociste aksamitki, które strzegły warzyw przed szkodnikami, a przy okazji nie szpeciły ogródka. Miały bardzo słoneczne płatki.

Potem miał nadejść czas, kiedy zostałaby wzniesiona podwójna zaporą. Wtedy jednak nad pustymi, brązowymi prostokątami ziemi sterczały tylko elegancko wyperfumowane, wysokie, szczupłe czupryny.

Nazajutrz pogoda była jakaś słabowita, a nauka musiała trwać. Z rana trochę słońca, potem nawet i tego brak. Po południu przez okno widziałam padający grad. „Biedne chłopaki” – pomyślałam o Czosnkach. A myśmy myśleli, że ich to ominie. Wymrozi nam naszych strażników odporności. I wampiry nie odejdą, i wirusy pozostaną, i pandemia kołem się toczy.

Pamiętałam, jak pischwały wąsate Czosnki, gdy je zakopywaliśmy. Przysypywane ziemią, machały zielonymi ogonkami. Już tak dawno to było. Marzec, kwiecień skończyły się niedawno. Kiedy to było? Nie wiem. Nie umiem przedzielić tego czasu na okresy, policzyć ich oddzielonych ważnymi wydarzeniami. Matura minęła. Przyszło i zniknęło lato. Reszta bez zmian. Zatarło się w pamięci miasteczko Orlan z jego kubłami martwych szczurów. Może tylko здаwało mi się, że było to tak dawno, bo przecież kto przesadzałby rośliny do gruntu w marcu?

© Copyright by Podlaski Instytut Kultury w Białymstoku, 2021

Przygotowanie i opracowanie publikacji:

Barbara Popławska, Joanna Krukowska, Joanna Gawęł, Lila Wyszowska

ISBN 978-83-60308-55-4 (wersja online)

Publikacja zrealizowana w ramach
konkursu literacko-plastycznego „Na granicy...”

Organizator konkursu:

Podlaski Instytut Kultury w Białymstoku

ul. Jana Kilińskiego 8, 15-089 Białystok

www.pikpodlaskie.pl

BIAŁYSTOK 2021